ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 51 (186) NIEDZIELA, 23 GRUDNIA 1945 R. CENA 15 LIRÓW

KS. J. PELC

„Gdy się Chrystus rodzi..."

Już siódme Boże Narodzenie bez chwały Bogu na wysokościach i bez pokoju ludziom na ziemi.

Zamilknął wprawdzie huk dział i przebrzmiał łoskot pękających bomb, nie zamilkły jednak namiętności i żądze, które wyzwoliły owe niszczycielskie siły.

Na pobojowisku świata, na gruzach powalonych miast i osiedli ludzkich, na cmentarzysku, na którym pogrzebano kulturalny dorobek wieków żerują w dalszym ciągu pycha i zachłanność, samolubstwo i nienawiść, niesprawiedliwość i gwałt.

Poszczególny człowiek nie może odnaleźć zrujnowanego domostwa, a narody całe nie widzą drogi do swych krajów, albowiem przysłoniły ją bezprawie i przemoc wroga. Podczas gdy wojna zniszczyła dorobek materialny świata — okres powojenny podważył jego wartości moralne.

W atmosferze tego dramatu świta zorza Bożego Narodzenia. Świat wita ją z radością, albowiem bardziej aniżeli kiedykolwiek odczuwa potrzebę zbawienia. Zmęczona i przygnębiona ludzkość z utęsknieniem spogląda w stronę Betleem, wsłuchając się w dobrą nowinę, która głosi: „Dziecię się nam narodziło — Syn nam jest dany; imię Jego będzie: Przedziwny — Anioł rady — Bóg — Mocny — Ojciec przyszłego wieku — Książę pokoju".

Na miejsce swego narodzenia wybrał Bóg stajnię. Prostą, zwyczajną stajnię — brudną i pełną zaduchu. Nasza zaś przeczulona wyobraźnia przyozdobiła to mieszkanie bydląt poezją i jasełkami, napełniła wonią siana, zanuciła Bogu-Dziecinie kolendy-kołysanki i stworzyła... szopkę.

Wszystko to pełne wdzięku i nie pozbawione głębszych nawet podstaw. Z chwilą jednak, kiedy przysłania rzeczywistość, staje się bezwartościowe i szkodliwe.

Rzeczywistość zaś mówi co innego. Stanowi ona dla człowieka straszliwy zarzut, że nie umiał czy nie chciał przygotować u siebie miejsca na przyjście swego Zbawcy, „który przyszedł do swoich, lecz swoi Go nie przyjęli". Z konieczności zagościł Bóg w mieszkaniu zwierząt. Ani gospoda Betleemska, ani pałac Heroda, ani mieszkania faryzeuszów nie mogły być godnym schronieniem Nowonarodzonego, nie mogły stworzyć odpowiedniego podłoża dla misji Zbawiciela. Ani bowiem filozofia życia, ani ubóstwienia państwa, ani formalizm religijny nie mogą być punktem wyjścia dla dzieła, które ma na celu odnowienie społeczeństwa.

Potrzeba światła i dobrej woli.

Pierwsze dało niebo w ową Świętą Noc wigilijną: „światło na oświecenie pogan i na chwałę ludu"; druga zależy od człowieka. Rezultatem ich jest największa wartość społeczna: pokój.

„Gdy się Chrystus rodzi..." zachodzą dziwne przemiany tak w świecie naprzyrodzonym, jak też w dziedzinie przyrodzonej. Obszernie opowiadają nam o tym nasze polskie kolendy, pełne prawd teologicznych i polotu poetyckiego. Należy je jednak śpiewać z głębszym zrozumieniem, aniżeli to czyniliśmy w latach dziecinnych, bo i same Święta nabierać powinny dla nas większej wartości jak dawniej. Tym więcej, że z prawdy tej musimy czerpać siły w trudnych dla nas chwilach, kiedy ciemna noc, pełna okrucieństwa i gwałtu rozpostarła swe skrzydła nad Polską.

W rozbitych domach Stolicy i w wielu, wielu innych miastach i wsiach nie zapłoną choinki, stół wigilijny nie zgromadzi wszystkich rodzin polskich. Myśl ta nie może osłabić naszej wiary, ani też wstrząsnąć podwalinami nadziei.

W oną Świętą Noc, kiedy zjawił się Zbawiciel, światłość wielka rozjaśniła ciemności. Noc nie ustępuje wprawdzie całkowicie, lecz i światłość nie słabnie. Boże Narodzenie i wśród łez sprowadza radość.

„Gdy się Chrystus rodzi... moc truchleje". Dlatego właśnie Kościół istnieje mimo prześladowania, albowiem święta Bożego Narodzenia codziennie obchodzi, codziennie na ołtarze sprowadza Chrystusa. Ten, który ongiś zrodził się raz jeden dla wszystkich ludzi, dziś stać się może codziennie własnością każdego wiernego. A miejscem Jego narodzin musi być serce ludzkie.

Do stajni drugi raz On nie pójdzie. Jego miejscem może być tylko niebo lub dusza w stanie łaski.

ZE SZTUKI WŁOSKIEJ

„Żłóbek" — Malował Pinturicchio (Obraz w Akademii Sztuk Pięknych w Sienie).

CYPRIAN NORWID

PSALM WIGILII

Ojcu H. (ieronimowi) K. (ajsiewiczowi) na świadectwo szacunku powinnego przypisany. R. P. 1848.

I

O, dzięki Tobie, Ojcze ludów, Boże,
Że ziemię wolną dałeś nam i nagą;
Ani oprawną w nieprzebyte morze,
Ni przeciążoną gór dzikich powagą,
Lecz jako piersi otworzoną boże...

II

Więc na arenie tej się nie ostoi
Przeciwnik żaden, jeno mąż bezpieczny
I ten, co zasię nierad szuka zbroi,
Ale zupełny, wcale obosieczny,
Który, jak gwiazda w niebie czystym, stoi.

III

I za to jeszcze dzięki Ci, o Panie,
Że człek się ówdzie laurem nie upoi,
Ani go wiatrów ciepławych głaskanie
Przeatłasowi w nicość i rozstroi
Na drzew i kwiatów motyle kochanie!

IV

Strzeliście w niebo spojrzy on ku Tobie,
Który przez stajnię wszedłeś do ludzkości,
I w grobie zwiędłych ziół leżałeś w żłobie,
I w porze, ziemskich próżnej zalotno ci,
I kiedy cały świat się tarzał w grobie.

V

Za prawo tedy do Polski obszaru
Dziękujem Tobie, któryś niezmierzony,
Wszechistny, jednak z obłoków wiszaru
Patrzący na świat, w prawdzie rozdzielony
Światłocieniami czaru i rozczaru —

VI

I który łaski zakreślisz promieniem
Dzielnicę ludów w czas ludów chacsu,
Tak, jako morze obszedłeś nier cieniem
I nie rzuciłeś gór na wagę losu,
Lecz najpodlejszym bawisz się stworzeniem.

VII

Do Ciebie, Ojcze ojczyzn, się podnosim
W tymto ubóstwie naszym bardzo sławnym
I w tej nadziei, co po skrzydeł osiem
Przybiera codzień, i w płaczu ustawnym,
I w bólach, które tak mdło jeszcze znosim.

VIII

O, dzięki Tobie za państwo boleści,
I za męczeńskich koron rozmnożenie,
I za wylaną czarę szlachetności
Na lud, któremu imię jest — cierpienie,
I za otwarcie bram nieskończoności!

Pisałem w Rzymie w wigilię 1848 r.

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM „ORŁA BIAŁEGO" ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE SKŁADA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PAWEŁ ZAREMBA

Sowietyzm i sowietyzacja (I)

Najistotniejsze w dzisiejszych czasach zagadnienia społeczne sprowadzają się w ostatecznym skrócie do dwóch pytań.

Pytanie pierwsze: czy rzeczywiście sowietyzm jako myśl i idea stanowi zagrożenie dla całej dotychczasowej cywilizacji, czy też niebezpieczeństwo z niego wynikające, nosi cechy jedynie polityczne i, po osiągnięciu swych celów imperialistyczno-politycznych, reprezentowanych przez państwo sowieckie — po prostu się wypali. Pytanie drugie, którego wartość zależy od stanowiska, jakie się przyjmie w stosunku do pytania pierwszego, — dotyczy zagadnienia, dokoła jakich wartości i w imię czego krzepnie i organizuje się opór społeczny przeciwko naporowi sowietyzacji.

Artykuł niniejszy stara się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, w oparciu o który można by dążyć do znalezienia odpowiedzi pewniejszych. Nie wysuwa zatem ani stwierdzeń całkowicie udowodnionych i popartych przez naukę, ani też nie dąży do postawienia tezy. Jest po prostu próbą zapoczątkowania dyskusji.

1. Ogólno-światowy charakter sowietyzacji

Świat współczesny znajduje się pod działaniem głównie dwóch procesów społecznych. Żaden z nich nie jest procesem o całkowicie sprecyzowanych założeniach, — każdy z nich ulega przemianom w miarę czynionych postępów lub ponoszonych porażek. Oba zmierzają jednak do wykształcenia swoistego stylu życia człowieka i ta cecha zdaje się być już całkowicie pewna i ugruntowana.

Jeden z tych procesów to — demokratyzacja, drugi to — sowietyzacja.

Nie są to oczywiście procesy jedyne, — znajdujemy i inne, które również, jako do jednego ze swoich celów, dążą do przebudowy lub stworzenia nowego stylu życia człowieka. W tych jednak procesach ten cel, o charakterze socjologicznym, nie jest celem ostatecznym i najistotniejszym. Schodzi on jak gdyby na plan odleglejszy wobec celów bezpośrednich, — celów politycznych, którymi będą czy to potęga jakiegoś państwa, czy też dobrobyt jakiegoś społeczeństwa.

Demokratyzacja zaś i sowietyzacja całą dziedzinę polityczną życia traktują nie jako cel, lecz jako środek. Cel zaś nosi charakter socjologiczny — wykształcenie konkretnego stylu życia, opartego o swoistą, ściśle określoną kulturę.

Oba przeto procesy mają dwie cechy wspólne:

— dążą do wykształcenia swoistego stylu życia, opartego o swoistą kulturę;

— są ruchami uniwersalistycznymi, tzn., że i w celach swoich i w ich realizacji chcą przejść ponad różnicami, dzielącymi ludzi na grupy narodowe lub inne — stawiając ideały własne wyżej od ideałów partykularnych poszczególnych grup.

Oba prądy mają za przedmiot swego oddziaływania i cel ostateczny — człowieka. Toczą ze sobą walkę właśnie o człowieka, toczą walkę, w której na dłuższej skali nie może być kompromisu, gdyż przy krańcowo różnych ideałach, przedmiot pozostaje niezmiennie jeden. Jest nim człowiek w pojęciu uniwersalnym, człowiek, pod którym to określeniem rozumiemy wszystkich ludzi na kuli ziemskiej.

Między obu prądami zachodzi różnica dwojaka. Z jednej strony różnym jest ideał końcowy, do którego się zmierza, z drugiej zaś — różnica sposobu, w jaki się założony cel osiągnąć zamierza. Różnica sposobu jest logicznym wynikiem różnicy ideału.

2. Różnica ideału demokratycznego i sowieckiego

Ideał demokratyczny zmierza do zapewnienia każdemu człowiekowi maksimum możliwości rozwoju własnej osobowości przy możliwie równych warunkach bytowania, przy możliwie małym skrępowaniu jego swobody wyboru drogi rozwoju umysłowego, zajęcia głównego i zainteresowań pobocznych. Ideał demokratyczny zmierza do uczynienia z więzi społecznej nie kajdan krępujących człowieka, lecz aparatu, który by każdemu człowiekowi ułatwił realizację jego własnych celów indywidualnych a zarazem umożliwiał mu pomaganie innym ludziom w ich indywidualnych dążeniach.

Praktycznym czy zewnętrznym wykładnikiem tego ideału byłby styl życia, w którym każdy człowiek miałby pełne prawo wywierania wpływu, formalnie i rzeczywiście, na charakter i rozpiętość zobowiązań w stosunku do społeczności, w której żyje — posiadałby określony zakres własnej swobody, na której ograniczenie lub rozszerzenie sam miałby wpływ. Inaczej mówiąc, ideał demokratycznego stylu życia wymaga wolności człowieka w ramach, na których nakreślenie miałby możność wywierania wpływu — wymaga wolności politycznej, społecznej i gospodarczej, której ograniczenie może i powinno iść tylko tak daleko, jak tego wymaga spełnienie postulatu równości, także w dziedzinie politycznej, społecznej i gospodarczej.

Wychodzi zatem koncepcja demokratyczna z założeń chrześcijańskiego poglądu na człowieka, poglądu, który uznaje go za istotą wolną, mającą prawo i obowiązek dążyć do rozwoju własnej osobowości w równym stopniu, jak posiada obowiązek dobrowolnego wspomagania swych bliźnich, dla którego to powodu łączy się w grupy społeczne i w tych grupach żyje.

Z krańcowo innego założenia wychodzi koncepcja sowiecka. Podzielając kan ny religijnej doktryny materializmu, uważa ona, że człowiek nie posiada swego własnego „ja", oderwanego od grupy społecznej, lecz, że należy do niej w sposób mechaniczny, niezależny całkowicie od jego woli czy zgody. I tak jak część nierozdzielna od całości nie ma że mieć interesów własnych, lecz służyć musi bez reszty interesowi całości, tak samo i człowiek nie ma prawa działać jako jednostka wolna i równa w stosunku do innych, ale jako narzędzie, służące celowi, stojącemu poza nim i ponad nim, na którego sformułowanie wpływu mieć nie może.

Koncepcja sowiecka dąży zatem do osiągnięcia dobra ogółu ludzi, z tym jednak, że samo pojęcie dobra nie wychodzi poza konieczność materialnego czy zwierzęcego zaspokojenia potrzeb fizycznych. Zgodnie z tym stył życia sowiecki, ów ideał, do którego zmierza proces sowietyzacji, polegać ma na całkowitym wprzęgnięciu jednostki w grupę, na niepozostawieniu żadnego zakresu swobody, nie tylko swobody postępowania, ale nawet swobody zainteresowań i swobody myślenia. Jest to innymi słowy ideał totalny, obejmujący całego człowieka bez reszty.

Logicznym wypływem tej koncepcji jest pogląd na zagadnienie kultury. Kultura chrześcijańska, na której wyrosła idea demokracji, przyjmuje wiarę w pewne wartości absolutne, w prawdy obiektywne. Na tej zasadzie opierają się nauki, zasadzie tej służy sztuka, na niej budują się wreszcie systemy etyki. Nie znajdziemy natomiast tej cechy w sowieckim poglądzie na kulturę. Uznaje się tam tylko jeden „absolut", którym jest nie sprecyzowana bliżej doktryna dobra grupy, określanej niekiedy mianem proletariatu. Dobro to rozważa się tylko i wyłącznie z punktu widzenia religii materializmu. W myśl tej zasady nie przyjmuje się w ogóle istnienia obiektywnego sądu, ani w nauce, ani w sztuce, ani w etyce — nie zna się pojęcia sprawiedliwości czy słuszności — istnieje tylko pojęcie potrzeby.

Nie istnieje również i praktyczna cecha zachodniej kultury: pomoc wzajemna ludzi ludziom. Jeśli krańcowo pojęty liberalizm prowadzi do wyzysku i egoizmu niektórych jednostek na skutek tego, że odmiennie, niż to czyni demokracja, nie uważa się własności za funkcję społeczną, to z drugiej strony w sowietyzmie dąży się do stanu, w którym z dóbr jmiennie korzystać nie może nikt. Podmiotem posiadania jest owa fikcja totalnie pojętego proletariatu, w praktyce zaś sprawuje posiadanie urzędnik pilnujący, by nikt sam niczego nie posiadał.

3. Różnica sposobu działania

Jeśli zatem — odmiennie niż demokracja — myśl sowiecka uważa; że:

a) człowiek jako jednostka nie posiada ani praw ani swobody działania;
b) wartość życia ludzkiego należy rozpatrywać jedynie z punktu widzenia jego narzędziowej przydatności;
c) nie istnieje pojęcie obiektywności sądu i działania;
d) wszelka wartość jest ograniczona do wartości materialnej —

to i realizacja celów idealnych musi siłą rzeczy nosić na sobie piętno wyznawanych ideałów.

Sposoby działania, które mają doprowadzić do spełnienia ideałów sowieckich, są zatem z gruntu różne od sposobów działania, którymi posługuje się proces demokratyzacji. Wyzute są zupełnie z zasad słuszności i sprawiedliwości, z góry odrzucają konieczność czy potrzebę posługiwania się prawdą. Prawdą i fałsz, uczciwość i nieuczciwość, traktowane są na równi, jako stojące do dyspozycji środki działania równowartościowe, jeśli prowadzą do celu. Realizacja celów sowieckich z góry wyłącza informowanie i uczenie człowieka, uważając jego mózg również za narzędzie, które należy wyzyskać, lecz które należy kontrolować stale jako narzędzie niebezpieczne. Działając w oderwaniu od sądu obiektywnego, każe się ludziom żyć i pracować w stanie psychicznej nietrzeźwości.

Realizacja planu sowieckiego nie może być zahamowana przez względy krzywdy czy cierpienia człowieka. Słuszne kierownictwo masami ludzi nosi charakter i nazwę „sowieckiej inżynierii społecznej", w której ktoś kierujący spełnia rolę już nie woźnicy, kierującego końmi, lecz mechanika, obsługującego maszynę.

W związku z tym, w sposobach działania, mających doprowadzić do realizacji celów w procesie sowietyzacji, wszystkie pojęcia rozpatrywane są z jednego tylko punktu widzenia — skuteczności. Dobro, piękno i słuszność ocenia się tylko z punktu widzenia przydatności w spełnianiu sowieckich celów. Stąd logicznie uzasadnionym może być określenie takie jak „sowiecka nauka", „sowiecka prawda", „sowiecka sprawiedliwość". Z tym jednak, że pojęcia te w oderwaniu od przymiotnika „sowiecki" w ogóle żadnego obiektywnego znaczenia nie mają.

Człowiek sam cierpi najwięcej na skutek sposobu, w jaki sowieckie ideały się realizują. Na skutek mglistości, niemożności konkretnego zapoznania się z głoszonym ideałem sowieckim, człowiek żyje w atmosferze beznadziejności, w nastroju nieoczekiwania na nic. Sowieccy teoretycy przyznają czynicznie, że trzeba będzie przynajmniej stu lat, by człowiek przyzwyczaił się do sowieckiego stylu życia i pracy. Przez okres, dzielący go od tej chwili, ponieważ żyje ciągle przyzwyczajeniami i prawdami, noszącymi charakter obiektywny i nie mogącymi nagląć się do koncepcji prawdy subiektywnej, sowieckiej, będzie się czuł źle, co zresztą realizacji ideału sowieckiego na drodze nie stanie.

Poszczególne fragmenty sowieckiego sposobu realizowania planów są znane aż nazbyt dobrze. Rozpatrywane w oderwaniu wytwarzają wrażenie czegoś potwornie bezplanowego i przepojonego bezcelowym sadyzmem. Jeśli jednak pamiętać się będzie o założeniach ogólnych, rzecz nabierze pewnej logiki.

Nie jest dziełem przypadku, że mówimy o atmosferze i życiu krajów, przetrawianych przez proces sowietyzacji, iż są beznadziejnie ponure. Jest to zupełnie logiczna konsekwencja sposobu, jakim Sowiety się posługują dla realizacji swych celów.

(D. C. N.)

OŚWIADCZENIE P. PREZYDENTA R.P.
z okazji świąt Bożego Narodzenia

Wiele narodów świata obchodzić będzie tegoroczne Boże Narodzenie, jako pierwsze od sześciu lat święta pokoju. Nie grzmią już działa w Europie i na Dalekim Wschodzie, a cisza klęski panuje nad ruinami miast niemieckich i japońskich.

Naród polski — najwierniejszy sojusznik Obozu Zjednoczonych Narodów, który udział swój w wojnie od pierwszej chwili zaczął opłacać życiem najlepszych synów i całkowitym zniszczeniem kraju, nie odzyskał jeszcze jednak istotnej niepodległości, chociaż walnie przyczynił się do zwycięstwa. Naród, odcięty od świata niepenikniona zaporą, ugina się pod ciężarem obcej okupacji, a rozproszona po szlakach wygnania część jego przeżywa już siódmą z kolei Wigilię na obczyźnie.

W ten wieczór wigilijny, pragnę życzyć Polakom na całym świecie, aby nie opuściła ich ta niezachwiana wiara i nadzieja, która dodawała im sił podczas najcięższych chwil walki z wrogami. Ta nadzieja i wiara opiera się o wartości niezniszczalne i wieczne, o zasady moralne tak silne, iż potęgi zła i przemocy, walcząc z nimi od wieków, nie zdołały ich nigdy zniszczyć i unicestwić. Są to zasady, które przyniosło światu Narodzenie Chrystusa — zasady miłości bliźniego i wolności człowieka.

Niechaj wszyscy Polacy złączą się we wspólnym trudzie odzyskania niepodległości. Niechaj w szeregach bojowników słusznej sprawy znajdą się ramię przy ramieniu — żołnierze, których udziałem miast nagrody za bohaterstwo i ofiarność stało się wygnanie, ofiary okupantów, przemocą wyrwane z własnych siedzib i rozproszone po całym świecie i wreszcie Polonia Zagraniczna wszystkich krajów, która już podjęła bezinteresownie i odważnie najwyższy wysiłek dla Sprawy.

Niech ta Wigilia, święto powszechnej miłości, stanie się świętem ofiarności wszystkich serc polskich na rzecz braci naszych, cierpiących głód i niedostatek. Pomocy naszej potrzebują rodacy w Kraju, potrzebują jej również rodacy w Niemczech, którzy zmuszeni byli przez hitlerowskich oprawców do niewolniczej pracy, a teraz, mimo wyzwolenia, znajdują się wciąż w ciężkim położeniu zdala od Kraju.

A więc niech hasłami tegorocznej Wigilii będą: silne postanowienie wzmożonego wysiłku dla odzyskania niepodległości i wzajemna pomoc wszystkich Polaków. Jeśli do tych celów zmobilizujemy wszystkie nasze siły i pragnienia, to możemy być ufni i pewni, iż przyjdzie wreszcie takie Boże Narodzenie, gdy „pokój ludziom dobrej woli" zapanuje w Polsce.

Londyn, grudzień 1945 roku.

( ) Władysław Raczkiewicz.

ŻYCZENIA P. T. ARCISZEWSKIEGO
z okazji świąt Bożego Narodzenia

Wszystkim Polakom przesyłam najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne. Pragnąłbym bardzo, aby życzenia te dotarły wszędzie, zostały usłyszane i przyjęte przez wszystkich rodaków naszych, którzy rozsiani po świecie, żyją w poczuciu spójni narodowej, a przez to należą do wielkiej rodziny polskiej.

Przemijający rok nie spełnił nadziei, któreśmy w nim pokładali. Dla Polski nie przyniósł upragnionej wolności, dał jej natomiast nową okupację i nową niewolę, narodowi polskiemu — dalsze cierpienia.

Przy nadchodzących Świętach, łączymy się myślami naszymi w głębokiej trosce ze wszystkimi walczącymi w Kraju o prawa Ojczyzny naszej.

Pamiętać musimy, że działacze ruchu podziemnego i żołnierze Armii Krajowej, przebywają w więzieniach i obozach rosyjskich, setki tysięcy Polaków, którzy wyszli z więzień i obozów niemieckich nie mają jeszcze dziś możności powrotu do Polski. Łączymy myśli i serca nasze z żołnierzem polskim, który walczył o wolność Polski i innych narodów, a dziś trwa na posterunku, oczekując, by wielkie ofiary, poniesione w tej walce, nie były zapomniane, by stało się zadość sprawiedliwości.

Przesyłając swoje życzenia Polakom, oszdłym poza Krajem, chcę stwierdzić, że w chwilach szczególnie ciężkich, w jakie dla nas wszystkich obfitował rok przemijający, tym cenniejszym było, gdyśmy mogli poznać, jak szczere polskie serca biją nawet w najodleglejszych krajach i jak mocny jest głos Polaków, podejmujących obronę sprawy Kraju Ojców swoich.

Życzę wszystkim rodakom, by rok nadchodzący, stał się wreszcie upragnionym rokiem zwycięstwa naszych wspólnych ideałów, rokiem wolności dla braci w Kraju, a rokiem powrotu dla wojennych tułaczy.

Londyn, grudzień 1945 roku.

( ) Tomasz Arciszewski.

ARP.

„Pokój ludziom dobrej woli"

W czasach, w których nie ma pokoju, a ludzi dobrej woli traktuje się jak szkodliwych maniaków, modlitwa wigilijna „pokój ludziom dobrej woli" brzmi raczej jak bolesna skarga milionów uciemiężonych, niż jak zawołanie niosące ukojenie, sprawiedliwość i miłość.

Gdzie dziś szukać pokoju? Gdzie są ludzie dobrej woli?

Osiem miesięcy minęło od chwili ukończenia działań wojennych w Europie, pięć miesięcy od chwili kapitulacji Japonii, a stan wojny trwa również pod względem prawnym. Ani jeden traktat pokoju nie został dotychczas podpisany, by zakończyć krwawe sześcioletnie zmagania. Trwa też nadal wielki niepokój, wielki lęk przed tym, co już jest i co jeszcze grozi. Przyciichł szczęk oręża, ale ludzie giną nadal w wojnach pośrednich, giną z głodu, z wycieńczenia, ze spaniewierania z chorób, których nie można opanować. Nie ustają masowe wędrówki narodów. Okrucieństwo panuje wszechwładnie na wielkich obszarach świata. W obojętności na nędzę człowieka przejawia się styl współczesnej epoki. W deptaniu sprawiedliwości szuka dla siebie wyrazu — realizm polityczny. Im kto sprawniej łamie przykazania boskie w stosunku do całych narodów, im kto cyniczniejszy, bardziej kurczący się przed chwilową siłą, umiejętniej zakłamany, tym lepszy polityk, tym przebieglejszy przywódca.

Dawno już w dziejach świata kult siły fizycznej nie był tak zakorzeniony jak obecnie. Dawno już tryumf przemocy nad prawem nie był tak powszechnie uznawany. Hitler zginął, ale piekielna jego doktryna — antyhumanistyczna — panuje w polityce praktycznej mimo, że przybierana jest nieraz w szaty najcnotliwsze. Maskarada trwa. Zgubne pojęcia i doktryny, które chciano zniszczyć, żyją mimo klęski zadanej jednemu z ich głosicieli. Zniszczenie jednego z ośrodków zła nie zapobiegło dalszemu szerzeniu się gangreny.

Tryumfuje więc nadal hasło przestrzeni życiowej dla możnych tego świata, hasło pozwalające ujarzmiać podbite narody. Tryumfuje ponura metoda deptania osobowości ludzkiej celem podporządkowania człowieka totalistycznemu molochowi. Łamana i niszczona jest instytucja rodziny na ogromnych przestrzeniach Europy. Zamieniając zorganizowane zespoły ludzkie w gromady koczownicze pragnie się zabić w żywych ludziach tradycję, przywiązanie do ziemi, pragnie się uczynić z nich bezwolne stada, gnane jak martwe liście wszechpotężnym ukazem, to w tę, to w tamtą stronę. Największemu kapitaliście — jak nazwał Stalina wydawca londyńskiego tygodnika „Economist" Crowther — służyć ma w sowietyzowanych fabrykach robotnik, któremu odbiera się prawo do wolnej pracy, prawo do strajku, prawo odwoływania się do instancji bezstronnej o sprawiedliwość przed nowym „chlebodawcą", którym staje się zbolszewizowane państwo. W kołchozie, a więc w nowej formie poddaństwa chłopskiego, tym razem w stosunku do najbardziej reakcyjnego ustroju, jaki ziemia wydała, ma widzieć chłop zdezorientowany i osadzony na ogół co nej ziemi swe zbawienie przed obecnym chaosem rolnym. W hojnie, obleśnie hojnie rzucanych judaszowych srebrnikach mają znaleźć pisarze i literaci zadowolenie za usługi oddawane tym, którzy zapewnili sobie monopol na wszelkie środki produkcji drukarskiej. W imię haseł demokratycznych zaprowadza się niewolę polityczną, w imię haseł społecznych gruntuje się jarzmo społeczne, w imię lewicowości ustanawia się najokrutniejsze wstecznictwo.

Takie są wyniki sześcioletnich krwawych zmagań z totalizmem, z niewolnictwem i z reakcją hitlerowską. Takie są też istotne przyczyny obecnego lęku i obecnego chaosu, bardziej niebezpiecznego niż bomba atomowa. Jeszcze bowiem nie wszędzie zrozumiano, że deptanie moralności zaszło już za daleko, iż katastrofalne tego skutki zagrażają nie tylko konkretnym interesom politycznym, ale elementarnym formom bytowania.

Czy więc koniec świata? Czy mamy ręce opuścić i stanąwszy przed murem płaczu w lament uderzyć, głosząc, że wszystko stracone? Nie. Bo walka trwa, bo na kapitulację nie pozwala nam wiara objawiona w Betleem, ani kultura Europejczyków zabraniająca poddawania się złu, ani też rzesze tych maluczkich w naszym narodzie, którzy trwają wierni Bogu, Polsce i sobie, na przekór całemu niemal światu.

Wola tych szeregów niezliczonych zmagających się w Kraju z dławiącym zalewem obcości i barbarzyństwa, stanowi dziś największą naszą siłę. Na niej budujemy, na niej opieramy się, świadomi wszakże, jak bardzo ta nieugięta postawa obowiązuje nas wszystkich na obczyźnie.

Wolność odzyska bowiem Polska wysiłkiem, wolą, uporem owych maluczkich, ufających tym przywódcom, którzy również są wierni i oddani wspólnej sprawie. Na powszechności wysiłku społecznego tych wszystkich skromnych ludzi oprze się odbudowana niepodległość. Trudno będzie — gdy cel ten zostanie osiągnięty — dzielić Polaków na bardziej lub mniej patriotycznych, skoro po odrzuceniu nielicznych plew i pasożytów, wszyscy okażą się równi w spełnianiu wielkiego obowiązku. Nie będzie dlatego miejsca w Polsce — gdy opuści ją ostatni żołnierz i agent sowiecki — na żadne przywileje na zasłudze oparte. Nie będzie też powrotu do przywilejów dawnych, zarówno politycznych, jak i gospodarczych czy społecznych. Polska, wspólne dobro wszystkich obywateli, powstanie jako państwo niepodległe dla wszystkich jej mieszkańców i nikogo z praw i obowiązków politycznych czy społecznych nie będzie mogła wyłączać. Wszystko zaś, co stanie na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego celu najwyższego, będzie musiało być usunięte bez żadnych skrupułów.

Ale dlatego, odcinając się od przywilejów dawnych, wypowiedzieliśmy również walkę przywilejom, które obecnie pęcznieją w okupowanej Polsce. Nie walczymy o to, by mieli zapewniony powrót do Kraju różni przywódcy wielkokapitalistycznego „Lewiatana" — dziś wysługujący się tymczasowym władzom w Warszawie — a zawsze na ogólnie klasowym opierający swe bogactwa. Walczymy o to, by robotnik mógł być wolnym i żyjącym w godności obywatelem, by kołchoz nie odebrał chłopu ziemi, by chłopa na roli utwierdzić w zdrowych warunkach moralnych i gospodarczych jako pełnego i wyłącznego gospodarza swego zagonu. Walczymy o to, by zmieść z powierzchni ziemi obcą tyranię, opartą na wszechwładzy jednej, zagranicznej mafii politycznej. Walczymy o to, by zburzyć system ufundowany na deptaniu wolności sumienia, by przekreślić rządy posługujące się tajną policją, ochraną i NKWD, łapankami, zsyłkami i obozami koncentracyjnymi. Walczymy, by usunąć nagromadzone dziś w Polsce przywileje osobiste, apanaże i dostatki, jakie zapewnili sobie kosztem wynędzniałej ludności różni z ciemności wyłonieni karierowicze, którzy skorzystali z obecnej koniunktury, by obsypać się dostojeństwami.

Walczymy o Polskę sprawiedliwą, by zrobić w niej miejsce dla maluczkich, by tym najskromniejszym, a najwierniejszym, ich domom oraz ich rodzinom zapewnić pokój, bezpieczeństwo, możność wolnej pracy, swobodnego kształcenia, pełnego rozwoju zgodnie z postępem cywilizacji, tak, by mogli żyć według tradycji polskiej i dla dobra ludzkości w odcięciu zaś od wschodniej, azjatyckiej tyranii i barbarzyństwa. W ich strudzone, a wciąż niezmordowane ręce oddana będzie z całą ufnością przyszłość państwa polskiego, gdy wolność ono odzyska. Stanie się to jednak wówczas, gdy obce okupujące Polskę siły ją opuszczą. O to walka trwa. Nie ustanie ona aż zapanuje prawdziwy pokój dla tej wyspy ludzi dobrej woli, która się Polską nazywa. Pokój zaś ten będzie najpewniejszą rękojmią pokoju w całej Europie i świecie.

Ktoś mówiąc o czasach obecnych twierdził, że świat zachodni po wstrząsach straszliwych — których końca jeszcze nie widać — będzie musiał powrócić do okresu pierwszego chrześcijaństwa, jeżeli zechce utrzymać cywilizację, jaką stworzył. Istotnie walką toczy się już nie o takie, czy inne konkretne zagadnienia polityczne, ale o elementarne wartości duchowe i moralne. I tak jak chrześcijaństwo rozrastając się na gruzach Imperium Rzymskiego uratowało, rozwinęło i wywyższyło zagrożone przez ten upadek wartości cywilizacyjne, tak samo dziś podobnego odrodzenia musimy oczekiwać na ruinach świata, który pada. Jeżeli tak będzie, najbliższa epoka stanie się epoką maluczkich, żarliwych wiarą i silnych charakterem. W tym zapowiadanym okresie dziejów wielką rolę odegrać winna Polska, bo jej maluczcy, jej ludzie dobrej woli, okazali się wielkimi. O pokój dla nich prosimy w tę noc wigilijną.

POLSKI KRAJOBRAZ ZIMOWY

Krzyż w Karpatach

Tułaczka na ziemi polskiej

W znanym tygodniku londyńskim **„The Sunday Times"** ukazała się korespondencja p. Derek Selby — z Warszawy. Pisał on m. in. o sytuacji na terenach nadodrzańskich:

„Dość żyzna ziemia — **mało obecnie daje ludziom**, ponieważ kolejno koncentracje ogromnych sił armii czerwonej do jej ofensyw, **ogołociły** tę ziemię ze wszystkiego. Na wielomilowych odcinkach **nie można nigdzie zobaczyć ani krowy ani konia, a większość ziemi leży odłogiem.** Bydło, jakie się widzi, to stada pędzone z Niemiec przez **rosyjskich żołnierzy.**

„Wrocław, który dawniej liczył 650.000 mieszkańców, w jednej trzeciej leży teraz w ruinach, a ludność jego liczy obecnie 180.000 — w tym 120.000 Niemców. Z całego przemysłu czynna jest tylko fabryka wagonów kolejowych zatrudniająca 2.000 robotników. Polacy usiłują uruchomić fabrykę sztucznego jedwabiu, która zatrudniała 5.000 ludzi.

„Wszyscy Niemcy w Wrocławiu muszą nosić białe opaski na rękawach. Jest to zdaje się jedyne rozróżnienie między Niemcami i Polakami, a i ten nawet rygor nie jest zdaje się stosowany pod przymusem. W jednym gminnym ośrodku żywnościowym Polacy i Niemcy otrzymują jednakie jadło z tej samej kuchni — w osobnych tylko jadalniach.

„Na ogół biorąc — Niemcy pracują jako robotnicy, Polacy zaś są rzemieślnikami. Tym niemniej los Polaka bez pracy byłby koniec końców **mało co różny od losu bezrobotnego Niemca, a pewna liczba Niemców już głoduje.**

„Jadąc na północ rzadko kursującymi pociągami, oblepionymi **ludźmi, którzy siedzą** na dachach i stopniach lub cisną się jak sardynki w wagonach — przez okna oczy ogarniają taki sam krajobraz ziem leżących odłogiem i zrujnowanych miast przemysłowych. W Szczecinie problem żywności jest być może trudniejszy niż gdzie indziej. Stąd również Rosjanie **uprowadzili bydło** — tymczasem mówi się tylko o zwrocie 22.000 sztuk bydła, gdy dawne jego pogłowie liczyło 150.000.

„Z drugiej znów strony — Rosjanie dostarczyli zboża, lecz biorąc już i to w rachubę, p. Leonard Borkowicz, „wicewojewoda" tego okręgu, uważa, że jedno tylko, co by pozwoliło zapobiec **głodowi Polaków** — to natychmiastowa ewakuacja Niemców. Ewakuacja ta rzeczywiście się odbywa, ogranicza ją jednak liczba, jaką sprzymierzeni godzą się przyjąć do swych stref — **sami zaś Niemcy boją się** wyruszać w drogę o tej porze roku.

„Jeśli się wszystko dobrze zważy — **to** wydaje się, że chociaż kraj oddany Polakom jest potencjalnie bardzo bogaty — to jednak w **obecnym stanie rzeczy niesposób pozazdrościć im tego dziedzictwa.**

„Rzeczą najbardziej pocieszającą w całej tej sprawie, która inaczej mogłaby tej zimy stać się z pewnością nową wielką tragedią świata, — jest **dzielność ludu polskiego** oraz stopniowy napływ dostaw UNRRA — a zwłaszcza niezbędnych dla uprawy **traktorów.**

„Na wschodzie **akty terroru** są częste. Przemyślu, na nowej granicy polsko-rosyjskiej, „bandy ukraińskie" morduja dzień w dzień około 200 Polaków. W przeddzień wyjazdu ludzie patrzyli na to, jak zabijano ich krewnych, palono ich domy do przyciesi, uprowadzano bydło. Ze 150 wiosek w ich okręgu, 40 znikło już z powierzchni ziemi, a bandyci grozili **nawet, że spalą Przemyśl.**

„Lecz gdyby nawet bandytów nie było — **samo życie w Przemyślu jest nieznośnie ciężkie. Miasto stało się ośrodkiem zbornym** od Polaków z ziem, które obecnie zajęła Rosja. **Smutne korowody pociągów przywożą tysiące tych bezdomnych do kraju, który nie może ich wyżywić. Z 38.000 przybyłych w tym miesiącu było 22.818 dzieci, przeważnie bez rodziców. Były to dzieci wywiezione przez Niemców.**

„P. Juliusz Zdębski, szef polskiej „komisji repatriacyjnej" pokazał mi niewielki obóz przeznaczony dla ludzi, którzy **pieszo przywędrowali w nowe granice Polski.** Na 12.000 uchodźców, którzy mają tu warunki lepsze niż gdzie indziej w całej okolicy, jest tutaj pomieszczenie zaledwie dla 270. Stare kobiety i chore dzieci **mogą wymrzeć dla braku dogladu i odpowiedniego jadła. Mięsa nie widziano już od dwu miesięcy.** Śnieg pada teraz w Przemyślu — a tylko niewielu ma coś więcej prócz **cienkiego odzienia na sobie.**

„Ludzie często muszą czekać miesiące pod gołym niebem — nim otrzymają miejsce w pociągu, który powiezie ich na zachód. W pociągach tych **muszą oni przemieszkać często i pięć tygodni.** Przed dojazdem na ziemie zachodnie wielu **wymiera po drodze. Dla innych szczęściem jest, że nie wiedzą, jak wyglądają te opuszczone wioski, które mają się stać ich domem tej zimy".**

PRZYJAŹŃ POLSKO-WOJSKOWA

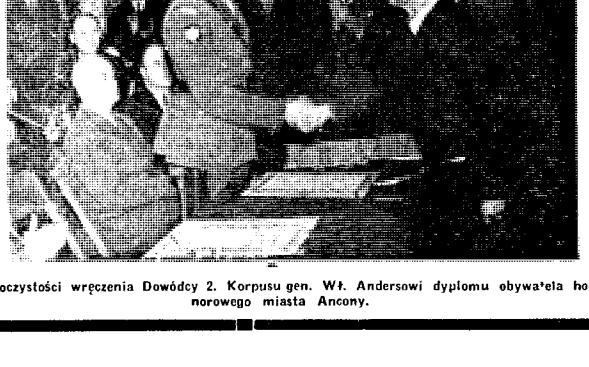

Z uroczystości wręczenia Dowódcy 2. Korpusu gen. Wł. Andersowi dyplomu obywatela honorowego miasta Ancony.

GŁOSY PRASY OBCEJ O SYTUACJI W POLSCE

Bezpieczeństwo osobiste w Polsce

J. Emlyn Williams, korespondent amerykańskiego dziennika „Christian Science Monitor", powrócił w połowie listopada do Berlina z kilkutygodniowej podróży po Polsce.

Z serii jego korespondencji — zamieszczamy tu sprawozdanie jego pisane w Berlinie. J. E. Williams opisuje w tej korespondecji, jak zaznacza na wstępie redakcja „Christian Science Monitor" — „powszechne uczucie niepewności, panujące w Polsce wskutek niekontrolowanej działalności różnych polskich i rosyjskich organizacji policyjnych".

„Polska od pokoleń rządziła się zasadą „Habeas Corpus". Zasada ta i dalej obowiązuje. Ale dzisiaj — tak, jak w ciągu długich lat naszej historii — **akt ten pozostaje tylko prawem pisanym".**

„W ten sposób ocenił sytuację, dotyczącą wolności osobistej w obecnej Polsce, jeden z polskich przywódców politycznych, którego w żadnym wypadku nie można określić jako przeciwnika rządu, ale który nie ma żadnych złudzeń co do obecnych warunków."

„Przypominają mi się niektóre wypadki **aresztowania osób nagle, w ich własnych domach, dla przyczyn nieznanych ani osobie aresztowanej, ani nawet najbliższemu jej otoczeniu i, które umieszczano w więzieniach w dużych miastach.** Naprzykład w drodze do Poznania jakaś starsza pani zatrzymała nasz samochód. Udawała się ona do miasta, aby dowiedzieć się czegoś o swej córce, która została zabrana nagle z domu przez policję bezpieczeństwa bez podania jakichkolwiek powodów aresztowania. Przez przeszło 5 tygodni staruszka nic o swej córce nie słyszała.

„Dzisiaj, tysiące Polaków znajdują się poza granicami swego kraju, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Walczyli oni w polskich siłach zbrojnych w Afryce i na Froncie Zachodnim. Gdy zapytałem pewnego polityka polskiego **czy ich powrót nie wyszedłby na korzyść ich krajowi, odpowiedział mi: „Z całą pewnością, ale bardzo obawiam się, że zostaną oni po powrocie albo aresztowani, albo też będą mieli duże trudności ze znalezieniem pracy.**

„Ich zapatrywania polityczne nie są całkowicie „odpowiednie". Tak samo zresztą, jak **Gdybym wyjawił jego nazwisko — z pewnością miałby jakieś przykrości, o ile nie zostałby natychmiast aresztowany.**

„Inny wybitny polityk, **z którym omawiałem to samo zagadnienie, zgodził się z powyższymi wywodami. Starał się jednak usprawiedliwić(!) ten stan rzeczy niepewną sytuacją polityczną Polski, dowodząc, iż kraj znajduje się obecnie w stadium rewolucji politycznej i społecznej, oraz twierdząc, iż byłoby rzeczą katastrofalną (!) gdyby, w danym momencie, dopuszczono do głosu opozycję, lub, jak on to nazwał, elementy reakcjonistyczne(!)**

„Henryk Świątkowski, „minister sprawiedliwości", wydał rozporządzenie, mocą którego **nikt nie może być przetrzymany dłużej niż 24 godziny bez przekazania go właściwym władzom sądowym. Ale nie spotkałem ani jednego Polaka, któryby potwierdził zastosowanie tego rozporządzenia w praktyce.**

„Osoby, o których tutaj mowa, **zostały aresztowane za sprawy polityczne, tzn., że „budziły one zastrzeżenia" wśród „rządzących" lub przynajmniej były uważane za osoby „niepewne".**

„Wielu Polaków, **według anglo-amerykańskich kryteriów, wydawałoby się jest skłonnych do przesady i w ten sposób osłabiają słuszność własnej sprawy. Jeżeli zapytać o ilość więźniów politycznych — w odpowiedzi usłyszy się jakąś fantastyczną liczbę.**

drugiej jednak strony, jeden z najbardziej trzeźwych i rozsądnych Polaków, jakich znam, stwierdził, że liczba więźniów politycznych sięga 20.000 i dodał, iż „ministerstwo bezpieczeństwa publicznego" ocenia ich liczbę na 10.000. Jednocześnie należy podkreślić, iż, w niektórych zwłaszcza częściach Polski, warunki są tak niepewne, że wątpię, by nawet odnośny „minister" mógł dokładnie określić stan rzeczy w danym momencie.

„Wśród osób, **nadal przebywających w areszcie, znajdują się, jak mówią setki Polaków, którzy powrócili z Rosji. Oczekuje się wypuszczenia ich na wolność, stosownie do niedawno wydanego obwieszczenia o amnestii. Termin wypuszczenia ich na wolność dawno już minął, lecz nic nie zrobiono, by ich wypuścić, a w wielu wypadkach nie sprecyzowano żadnych przeciwko nim oskarżeń.**

i zapatrywania **Armii Krajowej** (tych Polaków, którzy walczyli z najeźdźcą niemieckim, ale nie pod dowództwem Polaków lubelskich). **Ci ludzie nie cieszą się zaufaniem pewnych kół rządowych i wielu z nich zostało już aresztowanych".**

„Prócz Polaków aresztowani są „Volksdeutsche", — z których większość zamieszkiwała zachodnie tereny Polski. Setki ich przebywa nadal w więzieniach, ale te aresztowania mają całkiem odmienny charakter od aresztowań politycznych Polaków, ponieważ „Volksdeutsche" oskarżani są o zdradę stanu, tj. „o dopomaganie Rzeszy hitlerowskiej w czasie wojny.

„Dzisiejsza Polska mniejsza jest pod względem obszaru w porównaniu z Polską sprzed 1939 roku, a ludność jej zmiejszyła się mniej więcej do 2/3 przedwojennej liczby. A jednak tzw. „organizacje bezpieczeństwa publicznego" zwiększyły sie czterokrotnie w porównaniu z sierpniem 1939 roku. Jest to ogromny wzrost, zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, iż obecna Polska nie ma już tak wielkiej ilości mniejszości narodowych, jak 6 lat temu. Dzisiaj w Polsce jest tylko trochę Niemców i to na nowo zdobytych terenach na zachodzie.

„Sami Polacy przyznają, że te polskie organizacje bezpieczeństwa stoją na bardzo niskim poziomie, zarówno moralnym, jak i intelektualnym i przeważnie podlegają kontroli komunistów. Działalność ich stanowczo wykracza poza ramy tego, co zwykliśmy nazywać obroną interesów państwowych. Naprzykład zostały ustanowione w Polsce sądy specjalne dla spraw zbrodni wojennych. W jednym wypadku zastępca prokuratora zwolnił oskarżonego i odmówił prowadzenia dalszego przewodu sądowego ze względu na brak dowodów. Dwa dni później zgłosiła się do niego policja bezpieczeństwa, żądając wyjaśnienia tego postępowania. Przełożony zastępcy prokuratora, będąc człowiekiem dużej odwagi, doradził swemu podwładnemu, by odmówił wszelkich wyjaśnień i czekał na dalszy rozwój wypadków.

„Możnaby również przytoczyć wypadki, kiedy **aresztowano osoby, podejrzane o kontakty z**

POLACY W NIEMCZECH

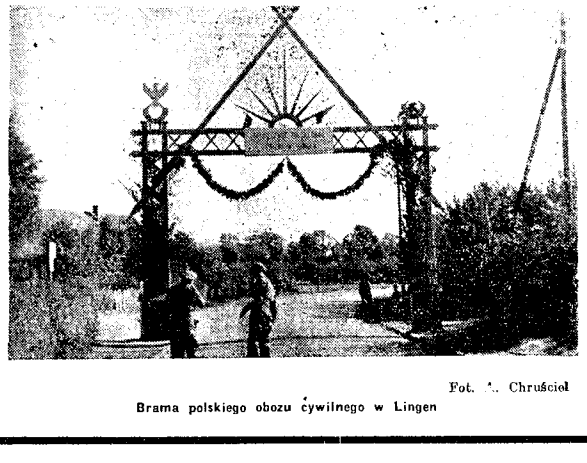

Fot. A. Chruściel

Brama polskiego obozu cywilnego w Lingen

ST. WŁODARZ

UWAGI

Z tych sześciu smutnych lat jakie przeżyłem pod okupacją wymiotem przecież pewną korzyść. Nauczyłem się przynajmniej jednego z działań arytmetycznych. Odejmowania mianowicie. (W matematyce byłem zawsze słaby). Dzień po dniu — przez sześć lat! — odpisywaliśmy tylko na straty. Wspominałem już, że były takie dni, gdy za jednym zamachem, wśród kilkuset nazwisk na nowej liście, znajdywaliśmy po kilku na raz przyjaciół, bliskich. Jedna tak zwana blokada, jak, naprzykład, pamiętna pierwsza blokada żoliborska (14 września 1940) kosztowała tylko mój blok mieszkalnowy czterdzieści ofiar... A uliczne łapanki. A każda obława w podmiejskich kolejkach dojazdowych. A zwykły „nalot" gestapowców na tę, czy ową kawiarnię... (Np. straszna w skutkach dla naszego malarstwa obława w kawiarni „Plastyków" przy ul. Łobzowskiej w Krakowie). Kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset — parę tysięcy nazwisk... (Pamiętam: stało nas wówczas — 14 września 1940 — stłoczonych w ujeżdżalni koszar szwoleżerów przy ul. Podchorążych ponad 3 tysiące). Wciąż odejmowaliśmy. Niezmordowanie odejmowaliśmy...

Zaczynam dodawać. W tych dniach zjawił się w Rzymie Morcinek. (Tak, tak, ten od „Wyrąbanego Chodnika".) Na terenie 1. Dywizji Pancernej odnalazł się Ildefons Gałczyński. (Prezentuje się właśnie czytelnikom „Orła" pięknym wierszem). Wczoraj spotkałem w gospodzie P.C.K. Matyasika. (Tak, tak, ten znakomity kiedyś redaktor krakowskiego „Głosu Narodu".) Trzech... Dużo mało, jak na nasze potrzeby, dużo mało w porównaniu z listą strat poniesionych przez kulturę polską. (Listę zestawioną starannie przez Książnicę Polską), ale wciąż jeszcze, niestety, niekompletną, choć obejmującą ponad 500 nazwisk.) Trzech... Ale — i to jest w tej sprawie najradośniejsze — zwłaszcza jeden z tych trzech, wraca do nas doprawdy, jak gdyby z tamtego świata. Czyż to bowiem jest możliwe, żeby Niemcy, mając w swoich łapach pisarza śląskiego, znienawidzonego przez nich i nawzajem nieukrywającego swojej nienawiści do nich, Gustawa Morcinka, mogli wypuścić go żywego? Nie. To nie jest możliwe. A przecież — jadłem wczoraj obiad z Morcinkiem... Otóż — okazuje się, że Morcinek ma dwa imiona: August i Gustaw. W metryce na pierwszym miejscu stoi August. To jest więc, niejako, protokolarne imię naszego Morcinka. Jego imię, że tak powiem, paszportowe. To drugie — Gustaw — służy literaturze. Właśnie Gustaw pisuje książki o Śląsku. Tymczasem Niemcy aresztowali w Skoczowie. (w październiku 1939!) A u g u s t a Morcinka. Umarł Gustaw — narodził się August. Pięć lat i siedem miesięcy, najpierw w Oranienburgu a potem w Dachau przesiedział A u g u s t Morcinek. Za jakieś tam lokalne „przestępstwa" mniejszej miary. Nie za książki, artykuły i opowiadania o Śląsku, które wyszły spod pióra G u s t a w a Morcinka...*

*Łaska Boża i opieka przyjaciół pozwoliła w ten sposób przetrwać Augustowi-Gustawowi Morcinkowi pięć lat i 7 miesięcy kaźni. My w Kraju, którzy wiedzieliśmy o jego aresztowaniu, postawiliśmy już na nim krzyżyk. Opłakaliśmy go więc i — obok tylu innych — odpisaliśmy go na straty. (Pamiętam jedno zebranie u Stanisława Piołun-Noyszewskiego **) — także na Żoliborzu, w roku jeszcze 1940 — na którym omawialiśmy tę stratę). Nikt nie wierzył, aby Morcinek mógł wyjść z „Kacetu" żywy. I byłby oczywiście nie wyszedł — G u s t a w! Na szczęście siedział A u g u s t...*

Tyle przeżyliśmy rozczarowań in minus, tyle rachub zawiodło, bo — jak się okazuje zawsze były jeszcze zbyt optymistyczne, że to zmartwychwstanie (nietako) Morcinka jest dla mnie prywatnie najmilszym prezentem gwiazdkowym. Ponieważ — jak sądzę — zapędzimy niebawem miłego „zmartwychwstańca" do roboty, dostanie się coś także wszystkim czytelnikom „Orła".

Losów Ildefonsa nie znam dokładnie. W Kraju wiedzieliśmy tylko, że w roku 1939 dostał się do niewoli niemieckiej, że jest w którymś obozie żołnierskim, następnie na robotach rolnych w Rzeszy. Potem słuch o nim zaginął. Obecnie wiemy już na pewno, że ocalał, że żyje i — co jest najważniejsze, że — pisze.

Z Matyasikiem inna sprawa. Do 42 roku brykał w Lubelszczyźnie. Rasowy dziennikarz, nie z przypadku, ale z urodzenia, z talentu, z powołania — (ten typ dziennikarstwa — wbrew pozorom — ma dużo cech kapłaństwa...) — doskonały publicysta polityczny, pozostał sobą, rzecz prosta, także pod okupacją. Czym kto wojuje... Zgubiło go, oczywiście, to podziemne dziennikarstwo. W 42 roku wpadł. W kilku kolejnych więzieniach — (Niemcy czuli, że mają w rękach jakąś grubą szyszkę — wozili go nawet do Berlina...) — przesiedział do wiosny 1945. Po wyzwoleniu przez Amerykanów (w Innsbruku) pracował czas jakiś wśród skupień naszej emigracji zachodniej. Obecnie zawadził o Włochy. Obowiązki publiczne powołują go chwilowo do Francji. Ale obiecuje wrócić. Nasz patriotyzm regionalny (i na emigracji, rzecz prosta, istnieje taki patriotyzm) — podszeptuje nam, by go zatrzymać na terenie 2. Korpusu. Racja stanu (jak zawsze) każe pamiętać o całości. Niech więc jedzie — skoro tam gdzieś jest potrzebniejszy. Ale — niech wróci...

Trzech... Niewiele potrafiłibyśmy zrobić, gdyby miejsca tych, którzy ubyli bezpowrotnie, mieli wypełnić jedynie ci, którzy (cudem niejako) ocaleli. Zbyt nas mało. Polskie straty w szeregach intelektualistów są tak olbrzymie, że — czy to się komu podoba, czy nie — kształt naszej kultury w najbliższych latach nada nie generacja Morcinka i Matyasika, ani nawet generacja młodszego od nich Gałczyńskiego (że tutaj ich nazwisk użyję przykładowo) — ale generacja następna. Po prostu dlatego, że jest nas zbyt mało. Trzech, trzydziestu... trzystu... Tam, gdzie trzeba tysięcy. Problem dzisiejszych dwudziestolatków, w tym sensie — to kluczowy problem Polski współczesnej.

Córka moja spotkała na poranku Listopadowym swoich dwóch kolegów z Żoliborza. W kinie w Rzymie, przy placu Barberini... . To takie proste.

Są w jednej z podchorążówek. Liczą po 19 lat, noszą stopnie podoficerskie zdobyte z górą rok temu w Warszawie, nie wiedzą nic o losie swoich rodziców, rodzeństwa, przyjaciół, mają za sobą (poprzednio) cztery lata nauki na tzw. kompletach. (I-Bież lat pracy w konspiracji...) Proszę to sobie obliczyć. (To już taki matematyczny felieton). Dziewiętnaście mniej cztery... Mechanizm erkaemu poznali znacznie wcześniej, niż tajniki logarytmów. Pozwalam sobie przypuszczać, że znacznie dokładniej... Przeszli bowiem, tak wiemy, prócz teorii, jednocześnie ćwiczenia praktyczne. Gdy tymczasem logarytmy... Ale teraz na szczęście, są w podchorążówce.

Rozmawiałem z nimi. Żoliborskie chłopaki, w Rzymie... w battle-dressach... (Pamiętam ich w jakichś wyszarzałych ubrankach chłopięcych, gdy przemykali się wieczorami po Żoliborzu, niezbyt wprawnie, ale dzielnie konspirując swoje „boczne" trzykonto zajęcia...) Dzisiaj w pasach, beretach, z warszawską syreną na rękawie...

Opowiadali mi o odbieraniu sygnalizacji Morsego „na słuch", „na melodię" i ile znaków na minutę musi przyjąć podchorąży. I o tym, jakie zawiłe zadania matematyczne już rozwiązują, a jakie będą rozwiązywali po świętach... Córka moja coś tam dorzuciła od niechcenia o sinusach i cotangensach. Ja (ostrożnie) trzymałem się raczej na uboczu. (Domyślacie się Państwo zapewne dlaczego...) Potem mówiliśmy o Żoliborzu, o naszych bliskich, którzy tam pozostali już na zawsze i o tych, o których los nadal drżymy — o Warszawie, o Polsce. O zadaniach naszych... o obowiązkach. Pojechałem potem do nich z odczytem. To był drugi prezent gwiazdkowy dla mnie. I dla nas wszystkich. Będzie chleb z tej mąki! Powinien Morcinek koniecznie odwiedzić szkoły 2. Korpusu. On tak pięknie pisał kiedyś o młodzieży. To nie prawda, że nie ma Warszawy! Jest Warszawa dopóki są (w Rzymie, czy gdziekolwiek na świecie) takie warszawskie chłopaki.

Ale to już jest dodawanie. (Znowu prześladuje mnie matematyka.) Bo oni — rosną.

---

*) *„Straty kultury Polskiej 1939-1944", praca zbiorowa pod redakcją Adama Ordęgi i Tymona Terleckiego. Książnica Polska Glasgow, z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej, 1945, dwa tomy.*

**) *Rozstrzelany*

---

ugrupowaniami politycznymi, niepopularnymi w sferach rządowych — chociaż w żadnym wypadku nie mających charakteru antydemokratycznego.. Jeżeli w ogóle podawano powody takich aresztowań — wydawały się one niezwykle powierzchowne. Co jednak bardzo często wychodzi na jaw, to fakt, **że kontakty z Zachodem, a zwłaszcza z Wielką Brytanią, są rzeczą nie do przyjęcia dla pewnych wpływowych władz dzisiejszej Polski**

„Rozmowy, przeprowadzane z Polakami w różnych częściach kraju, doprowadzają do wniosku, że, na ogół mówiąc, **większość „szarych ludzi", którzy mieli coś do czynienia z polityką** (ale nie ze sferami skrajno-lewicowymi) **obawia się osobistych represji.** Doniesienia z wschodniej części Polski — nawet po uwzględnieniu pewnej przesady — **wskazują, że tam nieopanowana działalność policji bezpieczeństwa szerzy się na większą nawet skalę, niż na zachodzie.**

„Prócz polskiej tajnej policji, w całym kraju działa także i rosyjskie NKWD, następca GPU. NKWD ma swoją odrębną sferę działania, co tylko powoduje zwiększenie braku poczucia bezpieczeństwa osobistego każdego obywatela polskiego.

„Wielu Polaków usiłuje zrzucić odpowiedzialność za te godne potępienia postępowanie pewnych czynników na Rosjan i często ignoruje fakt, **że ich własne władze zachowują się w sposób dwuznaczny.** Zupełnie wyraźnie dążą one do tego, by z chwilą nadejścia wyborów, pozycja ich była jak najsilniejsza i, **by wprowadzić w życie swoje teorie polityczne i ekonomiczne bez żadnych przeszkód.**

JAN BIELATOWICZ

Życie Rzymu płynie ulicami

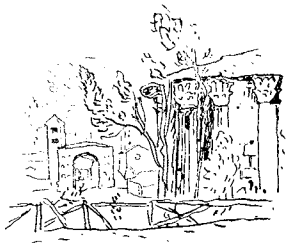

Przyjaciołom mieszczanom

Kiedy ludzie mówią: „Ren jest przecudny" lub gdy śpiewają o pięknym, modrym Dunaju albo oczyma duszy toną w urodzie lagun śródziemnomorskich, nie chodzi wtedy o Ren, Dunaj ni morze. W wyobraźni jawią się zamczyste lub cieniste, jak w pieśni Krymhildy, brzegi Renu, leniste pobrzeża Dunaju, z których dalekich horyzontów wybijają ku niebu wieże Wiednia, Budapesztu i Belgradu, piękno lagun odbijające urodę riwier i skalistych brzegów. Gdy ludzie mówią o pięknie miast, myślą o osadzie historii: o kościołach, pałacach, pomnikach. Ale istnienie pięknych form, brzegi, zamki, wzgórza, lasy wzięły swój początek i zależą od majestatu toczących się fal, miasta, pałace, pomniki od majestatu fali ludzkich żywiołów. I wcale najwyższe wzloty geniuszu człowieka nie utrwaliły się w tych postaciach, okrzepła tylko cząstka ich natchnienia. Gdy tedy pragnie się usłyszeć rytm serdeczny człowieczeństwa, nie ku wieżom tylko trzeba obracać oczy, ale spojrzeć na fale — na tłum, płynący ulicami, przez domy, podwórza, sienie, poddasza, strychy, piwnice, wnęki, schody.

A fale ludzkości są jak fale rzeczne: to jasne, przeczyste, to spienione, mętne, brudne wyschłe ciepłe-błogie i zimne-okrutne, ciche i huczące, życiodajne i niszczące, odbijające słońce, gwiazdy i błyskawice, wiślane i wołżańskie.

Kiedy Pan Bóg lepił świat z gliny, pomyślał, że Rzym będzie na tym świecie Jego stolicą. Nie tylko się wtedy nad nim uśmiechnął, ale wetknął już w swej wyobraźni krzyż w miejsce kopuły św. Piotra, kazał tu najpiękniej wschodzić i zachodzić słońcu, drzewom polecił rosnąć najwyżej i najdziwniej, różom kwitnąć najobficiej. Tybrowi powygniać się wielokrotnie, ptakom przelotnym urządzić postój na ich zamorskich szlakach w ogrodzie Pincio, a ludzi umyślił sobie natchnąć tu wielkością pomysłów i cudotwórstwem ręki. Ale ludzie odwrócili się od dzieł Bożej ręki i powiedzieli sobie, że świat jest zły i pełen ciemni. Czy naprawdę lepiej chwali Boga ów, kto twierdzi, że świat ten jest tylko łez padołem i wygnaniem z raju, dopustem Bożym w oczekiwaniu na lepsze życie, na nagrodę za męki doczesne, czy ten, kto śpiewa hymn pochwalny życiu, komu świat jest cudną, kolorową bajką?

Niech się tu zatrzymają ci, dla których życie jest pokutą a i ci, dla których jest malowanką, układaną z kilkudziesięciu kostek, bo kostki, które niesie fala życia ulicy są bardzo liczne i nie dadzą się ułożyć w regularną malowankę. Pójdziemy ulicami Rzymu, nie zadzierając głowy ku pomnikom, wieżom i pałacom, nie strojąc min poważnych na widok antyków i arcydzieł, nie bąkając wielkich nazwisk i łacińskich przysłów. Wczujemy z nich tylko to, co ostało się do dziś jako żywy rumieniec na pyzatych policzkach życia.

Rzymów jest bardzo wiele. Każda nudna książeczka wylicza trzy: starożytny, średniowieczno-papieski i nowy. Dowcipniejsi badacze liczbę tę mnożą przez dwa, trzy, cztery, a Sienkiewicz wybrnął z tych obliczeń najtrafniej, twierdząc, że każdy ma swą osobistą Italię i że nawet warto pisać wspomnienia, bo zawsze w nich jest coś takiego, czego nie było w poprzednich. Jest to „nowy i odmienny stosunek oczu". Jeden tylko element w Rzymie jest niezmienny: powietrze. W chemicznym jego składzie jest niewątpliwie nieznany jeszcze chemii pierwiastek: historicum. Jest to jakby czad. Czad historii. Wisi on nad miastem bez przerwy, a zagęszcza się o zmroku, gdy uliczki, niezmienione od wieków ni „linią ni cyrklem", ślimaczą się w wieczornych sentymentach. Granie epok w Rzymie szukać napróżno. Trzeba by cały Rzym zburzyć, chcąc przeprowadzić salomonowy proces podziału. W każdej budowli są cegły królewskie, republikańskie, cesarskie, papieskie, bizantyńskie, a nawet z tych czasów, o których się mówi, że „to było dawno i nieprawda". Kradną nie tylko kieszonkowcy. Kradną cesarze, konsulowie, dygnitarze krwi, złota i urzędu. O Rzymie starożytnym ktoś powiedział: „Quod non fecerunt barbari, fecere Barberini" („Czego nie dokonali barbarzyńcy, zrobili to rod Barberinich"). Im podobnym, a nie zębowi czasu, zawdzięcza starożytny Rzym ruiny, a potomny przepych budowli. „Roma Area MTOUSA", dobroczynna instytucja, pozwalająca żołnierzom alianckim załatwić się w pięć minut z każdym Colosseum, pałacem, schodami, mostem, łukiem, kościołem, ruiną, zwalnia dziś pisarzy od zachwytów nad łagodnością kształtów i prostotą zaklęętych w marmur myśli. Tabliczka np. na domu Shelleya (niezłe sobie mieszkał) informuje nas, że poeta po śmierci przyjaciela napisał „Adonisa", mimo to niedługo potem zakończył swe życie za przyczyną urny Browning. Więc Rzym historyczny tkwi w życiu bieżącym i nie jest od niego oddzielony barierą historii ani tablic MTOUSY dlatego, że życie płynące z tamtych kamieni i cegieł ma dziś taki sam smak, jak wtedy, gdy tamte starożytności wznosił ktoś, niszcząc jeszcze bardziej stare.

I tylko dlatego, aby nie popadać w strach, że nasza epoka niesie cynizm, przekreślenie wartości kulturalnych, materializm i inne brzydkie nazwy, warto uchylić okienka historii i mrugnąć porozumiewawczo do ludzi tamtych czasów. Rzym polski, to nie jest niezliczona ilość grobowców, tablic, ołtarzy, obrazów, herbów, dwa kościoły, zakony polskie, Matka Boska Żyrowiecka w Santa Madonna del Popolo, pałac Marysieńki na Via Sistina, pomnik Marszałka, ulice o polskich nazwach, foliały historii. Rzym polski, to jest Rzym cały, Rzym wszystkich epok i dzieł ludzkich. Z Rzymu popłynęła kultura polska i Rzym jest jej historyczną stolicą. Dzieje nasze grały się także na rzymskim teatrze i życie polskie płynęło również ulicami Rzymu.

Różnie tam z tym życiem polskim w Rzymie bywało: dostojnie, hucznie i ubogo, studencko i wojacko, świątobliwie i rozwiąźle, mądrze i głupiutko, artystycznie i tuzinkowo. Jak dobrze, że minęło niepowrotnie to, co kiedyś imponowało panom braciom — owe błazeństwa z gubieniem złotych podków Ossolińskich, półtora miliona złotych zebrane na powtórkę tej premiery w postaci niedoszłego poselstwa Jana Tarły, korowody lokai i wielbłądy królowej Marii Kazimiery przy równoczesnej nędzy polskiego kościółka i hospicjum rzymskiego. Dwór królowej żył sobie niczego w wiecznym mieście. Zawsze zresztą Polacy chwalili sobie Rzym. Pamiętnikarze włoscy uważali nawet, że swoboda w Rzymie podobna jest do polskiego liberum veto. Toteż niecałkiem słuszny jest wiersz Słowackiego:

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitnym — Warszawa
Sercem — ciemniami w nodze Sewastopol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —
Paryż jej głową — a Londyn kołnierzem
Nakrochmalonym, a zaś Rzym — szkaplerzem.
(Podróż do Ziemi Świętej)

Sam wierszcz zresztą nie taki znowu był pobożny w Rzymie, skoro tak opisuje dzienny plan swych zajęć: „O godzinie 7 z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10 wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzje i gryźć się zapewne będę aż do godziny 4, o której wyjdę na obiad, po obiedzie spacer i wieczór albo samotny albo u pani Richthoffen". Dzisiejsi Słowaccy nawet się już nie gryzą, a „belluzy" zamienili na „letnie sorty". Czasem tylko, jak wielki ich patron, lubią „po samotnych przesiadywać oberżach", „prędko latają" i czytają, jak on, swe utwory przyjaciołom, które „nie bardzo się im podobały i mówili zawsze, że szlachta nie zrozumie"

Ale jeszcze dwór Marysieńki. Rzeczowy był w tamtych czasach stosunek do prezentów. Żadne kwiaty, szarfy, ordery. Papieże przysyłali dostojnym gościom „regalo delle cento portate" — podarunek ze stu wiktuałów. Maszerowało z tym gęsiego bractwo służących, niosąc na głowach połcie mięsiwa, ptactwo, żywą dziczyznę, sery, szynki, salami, konfitury, cukier, chleb, beczki niezłego wina, oliwę no i zapewne pasta-asciuttę. Po bokach biegło z laseczkami 10 wartowników, „aby czasem, który z niosących nie skręcił" w boczną uliczkę, a pochód prowadził „maestro di casa", który po spełnieniu zadania otrzymywał złoty zegarek. (por. M Loret „Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku"). Wobec takiej spiżarenki nie dziw, że synalom królewskim zachciewało się figów. Konstanty Sobieski odbił księciu Sforza Tollę, panienkę z ulicy Bocca di Leone, co się potem przy poparciu mamy skończyło lekkim skandalem.

Śladów zbyt silnej ekstazy polskich pątników w Rzymie daremno szukać w naszej literaturze. Jeden tylko Krasicki wyznał, że wobec Rzymu „reszta widzianego w życiu miała mu się wydać maluczką". Krzysztof Zawisza pielgrzymował w roku jubileuszowym 1700 do Rzymu i opisał był swe wrażenia w pamiętnikach. Wspominał o kaplicy Sykstyńskiej, „malowanej od sławnego malarza Archanioła Gabryela, w której kaplicy malowany jest po wszystkich ścianach Sąd Ostateczny". Aby się nie trudzić historią i sztuką, pątnik wykrzykuje w zachwycie: „Któż wypisze inne miejsca święte i relikwije..." Krótko się załatwia z pałacami, gdzie wszystko „haniebnie piękne" i tak konkluduje: „Innych osobliwości nie wypisuję, dość wyrazić tymi słowy: nie ma rozkoszy nad rozkosze rzymskie". Dłużej zajmuje się pielgrzym i pisarz winem, którego widział kuf 80, „w grotach stojącego tegorocznego i wszystkie próbowałem, przyznając, że arcydobre różnego gatunku". Inni pisarze polscy, zabawiwszy się w Rzymie do syta, opisują zawsze potem jego dobre strony z zastrzeżeniem, że dzieją się tam także rzeczy, „których u nas uczciwe serce krom zgorszenia cierpieć nie może" (Jakub Górski), a niektórzy Włosi „mają łotrowskie obyczaje, których nie przypominam" (Hieronim Baliński). Poseł Leszczyńskiego ksiądz Andrzej Załuski nie wahał się nawet napisać:

Do Rzymu zwykle chodzą ludzie po odpusty,
Przeciwnie bytność rzymska grzech mój i disgusty
Przynosi...

Przesada, przesada... Ale, że dobrze się w Rzymie żyło to prawda. Najlepszy obraz życia rzymskiego daje nam ksiądz Pstrokoński (r. 1768). Oto, jak wszystkie poprzednie, z książki Loreta wypisane cytacje pamiętników Pstrokońskiego: „Chcę sobie zrobić z rodakami kompanią? znajdę u zamówionego sobie oto traktyjera prześliczny, dostatni traktament z winem, na każdą osobę po paolów trzy, które właściwie tylko dwa tyny polskie czynią. Gdzież tego dokaże w mojej ojczyźnie?" „Najlepsze dla nas Polaków z powiatu papieskiego d'Orvieto, wypili go u mnie Polacy i poniekąd Włochy przez trzy kwartały na 200 butelek". (To wcale nie tak groźniej). Podróżni mogą się zdaniem pamiętnikarza żywić bez rozwoju, „uczciwy wojażer, choć niedostatni, znajdzie po traktyjerniach za mały grosz zieleninę, zdrowe po ulicach arbuzy, kasztany prażone, tudzież wszelkiego gatunku owoce. Tak się oszczędny za lichy grosz utrzymać może". (O ile od zieleniny nie zmieni się w królika). „Jest coś sympatycznego w Rzymianach ku Polakom", „defektów nie cenzurują", a „o pielgrzymie Polaku pijanym nie mówią, że to Polak, ale że Niemiec, Tedesco ubriaco".

Dopiero nasi starsi koledzy z legionów Dąbrowskiego musieli w Rzymie klepać biedę. Mimo wspaniałej dyscypliny i nawet przykładnego rozstrzelania legionisty na Piazza del Popolo, kasztany już wtedy się stały przyczyną złego. Zdarzało się, że przekupce ukradł ten i ów legionista garść kasztanów (a żołdu wtedy najczęściej nie płacono), więc tłum począł rychło szemrać o złodziejstwie Polaków. W osterii „Pod dzwonem" („della Campana") nie zapłacili legioniści rachunku za wino i pobili szynkarza. Dziś już za późno regulować rachunek, bo osteria „Pod dzwonem" nie istnieje. Głodowali też liczni w Rzymie studenci polscy, bo to ich przywilej odwieczny, a pierwsi bracia Zmartwychwstańcy z O. Semenenką próbowali się żywić wyłącznie ryżem.

Juliusz Słowacki, Włoch dobry znawca, nie był, jak chce historia literatury, serafinkiem. Istotną częścią składową geniuszu jest humor, a Słowacki był jednym z najprzedniejszych polskich humorystów. Pamiętając o tym, trzeba czytać jego listy, gdzie byroniczne i romantyczne bóle i smutki są często satyrycznym pozorem. Dobrze jest więc przyjrzeć się życiu Włoch, mając Słowackiego za przewodnika, po tym powiedzmy czyśćcu.

Klimat Italii sprawił, że tu bardziej, niż w reszcie Europy, życie płynie ulicami. Powietrze Rzymu oprócz pierwiastka historicum zawiera w sobie inne jeszcze składniki. Dla jednych są to jakieś wapory, na które narzekał np. stale ojciec Marysieńki, przeżywając tu swą drugą młodość w wieku od 90 do 100 lat. Dla drugich słodycz, przypominająca ryż alla milanese. Tak sobie je chwalił rosyjski pisarz Gogol. Słowacki był najbliższy gustom naszego pokolenia. Pisał bowiem: „Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego ci opisać nie mogę. Mam tysiąc zachęceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba...". A niebo? Każde dziecko zna wiersz:

Te państwa niebo włoskie, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda!
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?

A znany nam już chwalca powietrza włoskiego Gogol obdarzył potomność również sądem o niebie. To właśnie północne niebo wydaje się mu monotonne i szare, a włoskie błękitne, pełne światła, złote, turkusowe. Najlepiej rozstrzygnąć tę sprawę o zachodzie słońca w Pincio. Coś z tą zamarzłą wodą nie wychodzi. I drzewa tu nie takie znów ułomne jak w trzeciej księdze „Pana Tadeusza".

Nasi rodacy lubią przesadzić. Sylka Januszewska, towarzyszką włoskich wczasów Słowackiego, przypisując się w liście do jego matki wyraża opinię, że „Włochy dobrze widzieć, (ale) zamieszkać w nich mało kogo woźmie chętka, bo z innych względów kraj nie bardzo miły". Dlaczego? Któż bo odgadnie kobietę? Może dlatego, że jak z dalszej części listu wynika, pani boi się, że ją „cholera udusi". Cholera wie.. Bo, jak tu pogodzić dwa polskie sądy: Mikołaja Śmieszkowica (nomen omen), że klimat jest przyczyną dowcipu Włochów i Słowackiego, że „Włochy są antyimaginacyjną krainą"? Ejże, czy to nie „powietrze"?

Są miejsca nacechowane przeznaczeniem. Trafiają do nich ludzie pokrewnych duchowych przekrojów albo tych samych narodowości. Tak Polacy odwiecznie skupiali się w rejonie Piazza di Spagna i via Babuino. A Słowacki gdzie chodził na kawę? Tam oczywiście, gdzie Mickiewicz i gdzie dziś jest w liliach i obłokach jego portret: do Cafe Greco. Wyjdziemy na razie z tej kawiarni, by spojrzeć na schody i kwiaty na Piazza del Popolo, a potem — w drugim artykule — wrócić pod portret Mickiewicza. Do żywych pod nim ludzi.

Piazza del Popolo. Rysunki St. Westwalewicza

JUR

U stóp Akropolu

Ateny

Atmosfera polityczna Grecji, zawsze gorąca, doszła w ostatnich czasach do stanu wrzenia. Zaczęła się jeszcze we wrześniu.

Dnia 27 września odbyła się w Atenach wielka manifestacja prokomunistycznej organizacji EAM w czwartą rocznicę jego założenia. Pochód przez miasto, w którym wzięło udział według obliczeń lewicy 200.000, według prawicy — 20.000, a w rzeczywistości około 60.000 osób, przeszedł przez ulice miasta, kierując się na Stadion Olimpijski, gdzie odbyła się właściwa uroczystość. Trzeba przyznać, że porządek panował wzorowy. Skonsygnowana pod dowództwem angielskim policja bez broni, nie miała właściwie nic do roboty. Na ulicach ani śladu wojsk greckich i angielskich. Dużo plakatów z hasłami EAM, flagi narodowe — ani jednej czerwonej. Charakter tłumu raczej drobnomieszczański, dużo kobiet, młodych chłopców i odświętnie ubranych podlotków. Nie widać było ani groźnie podniesionych pięści, ani kostiumów maskaradowych, wzorowanych na rewolucji francuskiej, jak to było w okresie manifestacji grudniowej ub. r. Nic dziwnego: zrozumiałyśmy wszyscy znamy już klasyczne metody robienia rewolucji. Nie udało się z bronią, trzeba zacząć od początku, łagodnie.

Manifestanci byli nastrojeni raczej dobrotliwie, na wesoło. Kiedy z „Leicą" wmieszałem się w tłum ustępowano mi miejsca, pozowano do zdjęć. Jakaś grupa z rozmowy naszej z kolegą poznała w nas Polaków. „Widzi pan, grecki naród nie chce Króla" — powiedział mi ktoś po angielsku wskazując szerokim ruchem ręki tłumy manifestantów.

Opowiadają, że na stadionie doszło do paru zabawnych incydentów. Przywódcy komunistów, tow. ZACHARIADESOWI, wyciągnięto podobno z kieszeni portfel, z czego skorzystały prawicowe gazety, kpiąc z moralnego poziomu uczestników zebrania. W czasie śpiewania hymnu EAM tłum uklękł. Były minister spraw zagranicznych SOFIANOPOULOS, znany ze swych prosowieckich wystąpień w San Francisco, chciał pójść za jego przykładem, ale ujrzawszy kilkadziesiąt obiektywów, skierowanych na siebie zawahał się i pozostał w pozycji stojącej. Se non e vero...

W początkach października nieoczekiwanie dla wszystkich i dla siebie samego upadł rząd admirała VOULGARISA. Na dzień przed kryzysem rozmawiałem z jednym z członków gabinetu. Był jak najlepszej myśli, snuł projekty na przyszłość.

Oficjalną przyczyną upadku była odmowa Partii Liberałów wzięcia udziału w wyborach, wyznaczonych przez rząd na 20 stycznia przyszłego roku. Nieoficjalnie mówi się jednak, że stało się to nie i udziału Londynu. W każdym razie ambasador W. Brytanii LEEPER, miał przed dymisją gabinetu parę rozmów z Regentem i premierem. Władze brytyjskie wydały oficjalny komunikat zaprzeczający tym pogłoskom.

Misję tworzenia nowego rządu otrzymał od Regenta wiekowy już wódz liberałów SOFOULIS, pod warunkiem stworzenia koalicji z innymi stronnictwami, przede wszystkim z najsilniejszym, ludowcami (czytaj — Monarchiści). Ci ostatni jednak z Dino TSALDARISEM na czele, stanowczo odmówili wzięcia udziału w rządzie. Zresztą i w łonie samych liberałów zarysował się rozłam: Sofokles VENIZELOS, syn wielkiego Kreteńczyka, do niedawna dziedziczny wróg dynastii, a ostatnio skłaniający się w jej stronę, potępił stanowczo SOFOULISA i jego stronników, którzy po osiągnięciu władzy mieli zamiar odłożyć wybory „ad calendas grecas", obawiając się słusznie negatywnego dla nich rezultatu.

Narodowo nastrojona ludność zwołała wielką manifestację na Pl. Konstytucji, która pomimo zakazu władz odbyła się. Tłumy manifestowały na cześć Króla i skandując krzyczały: „Sco-bi! Sco-bie!"

Zareagowały na to i teatry rewiowe. W jednym z nich w zabawnym monologu kpi się z podeszłego wieku SOFOULISA, mówiąc, że w roku 1825 po wyborze CAPO D'ISTRIA pierwszym Prezydentem oswobodzeni Grecji tłum wiwatował już na cześć SOFOULISA.

Widząc bezowocność swych wysiłków, SOFOULIS po kilku dniach zrezygnował. Z następcami jego poszło już szybciej. W ciągu jednego dnia zrezygnował kolejno TSUDEROS, b. premier pierwszego rządu greckiego na emigracji i DIMITRAKOPOULOS, członek ostatniego rządu VOULGARISA.

Kryzys przeciągał się. Ludność manifestowała. Zapanował jakiś niepokój, zaczęły krążyć różne pogłoski. Wreszcie 16 października, Regent, arcybiskup DAMASKINOS, zdecydował się wziąć inicjatywę w swoje ręce i sam stanął na czele nowego rządu, w którego skład weszli wszyscy ministrowie adm. VOULGARISA. Tak nieoczekiwanie (a może właśnie oczekiwanie) zakończył się jedenastodniowy kryzys ministerialny w Grecji, ale w listopadzie doszło do nowych dramatycznych powikłań.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż obecnie każdy rząd w Grecji będzie niepopularny po pewnym czasie, a to z powodu nieustabilizowanych stosunków ekonomicznych i szalejącej skutkiem tego drożyzny.

Grecka lewica wiedząc, iż w razie szybkiego terminu wyborów poniesie klęskę, stara się wszelkimi siłami oddalić ich datę. Stąd odmowa wzięcia udziału w wyborach, obalenie gabinetu VOULGARISA, oskarżenie tego rządu o fałszowanie list wyborczych, o terror, etc. Sekunduje jej w tym Moskwa, Belgrad, Sofia i nawet... Warszawa. Ta ostatnia w depeszach „Polpressu" z Aten (pomimo, iż nie ma tu korespondenta) „made in USRR" rozdziera szaty nad „terroryzowanym greckim ludem" zmuszonym wbrew jego woli głosować. A cóż właściwie myśli ten lud?

Jeśli cudzoziemiec zbiera wrażenia w Atenach czy Salonice, zwłaszcza pod wrażeniem tłumów w święto EAM, może ulec sugestii iż Grecja pragnie lewicowej republiki o zabarwieniu komunistycznym. Wystarczy jednak wyjechać na prowincję, ażeby się przekonać, iż wcale tak nie jest. Cała prowincja, a więc prawie cała Grecja jest prawicowa, jak nigdy może nią nie była. Prawicowa i prokrólewska. Dla tego to lewicą dąży do odroczenia wyborów, licząc, że może ludność pod wpływem ciężkich ekonomicznych warunków zrazi się do obecnego rządu, w którym nie bierze ona udziału.

Do wzrostu popularności Króla przyczynia się fakt, iż znajduje się on poza Grecją. Lud bowiem marzy o nim jako o tym, który polepszy jego byt. Niezrozumiałem zatym jest pchanie się lewicy do rządu, którą sobie nie zdaje sprawy z tego, iż wówczas stałaby się jeszcze bardziej niepopularna. Ponadto Grecja jest jednym jedynym chyba krajem, w którym rząd przeprowadzający wybory ponosi w nich zawsze porażkę. Tak był w swoim czasie z rządem VENIZELOSA, który po poprzedniej wojnie, pomimo osiągnięcia maksimum żądań Grecji, upadł po przeprowadzonych przez siebie wyborach.

Po wycofaniu się Niemców z Grecji ludność jej miała raczej tendencje lewicowe. Była to naturalna reakcja po tylu latach okupacji nazistowskiej i po przedwojennych rządach gen. METAKSASA, uważanego tu słusznie, czy niesłusznie za faszystę.

Kres temu położyło zachowanie się ELAS (podziemny, prokomunistyczny „antyniemiecki" ruch zbrojny), który zamiast walczyć z okupantem za pomocą dostarczonego mu obficie przez aliantów oręża (i złota), łupił niemiłosiernie chłopów na prowincji, a wreszcie obrócił swą nowoczesną broń przeciwko rodakom w czasie zeszłorocznej rewolucji grudniowej.

Grecja w swej historii zna wiele rewolucyj i jest już do nich przyzwyczajona. Ale bilans każdej z nich wyrażał się w paru wyrokach śmierci lub więzienia, z których niewiele zostało wykonanych, a skazani po paru miesiącach byli już na wolności.

Tym razem stało się coś nieoczekiwanego. Tysiące ofiar zamęczonych w okrutny sposób dziesiątki tysięcy zakładników uprowadzonych, z których wielu nie wróciło, dziesiątki tysięcy domów zburzonych wysadzonych w powietrze, zbombardowanych. Terror niemiecki w porównaniu z terrorem czerwonych wygląda na dziecinnadę. ELASiści okazali się pojętnymi uczniami swoich weshodnich profesorów.

Wszystko to ostudziło rozgrzane „do czerwoności" temperamenty. Żądania terytorialne popierane przez Moskwę Bułgarów, zaciętego wroga Grecji i oprawcy w czasie okupacji, dokonały reszty.

Nic więc dziwnego, iż wielu republikańskich polityków, zdając sobie sprawę ze zmiany nastroju swych wyborców zmieniło o 180 stopni swoje poglądy. W drodze powrotnej z Salonik w samolocie leciałem z GONATASEM, wybitnym działaczem liberałów. Zapytałem sąsiada swego — Greka o przekonania Gonatasa. „O, to jest republikanin" — odpowiedział mi. „Ale teraz jest za Królem" — dodał z uśmiechem.

Skutkiem całego szeregu tego rodzaju wypadków w łonie partii liberałów zarysowuje się rozłam. VENIZELOS, GONATAS, etc., widząc co zagraża Grecji poświęcili swe zasady dla jej dobra. SOFOULIS zaś z nielicznymi swymi stronnikami, zczując na lewo uparcie obstaje przy swoim.

Pomimo utworzenia gabinetu DAMASKINOSA, przybyły z Egiptu VENIZELOS, podejmował nadludzkie wysiłki celem pogodzenia rozbieżnych interesów dwuch największych stronnictw. Niejednokrotne zdawało się, iż osiągnie on swój cel, lecz w ostatniej chwili wszystko się rozbijało o nieustępliwe stanowisko jednej to drugiej.

Po dwunasto-dniowych bezowocnych próbach i VENIZELOS zmuszony był złożyć swój mandat.

A tymczasem drożyzna szaleje. Złoty funt angielski pędzi z zawrotną szybkością w górę, ciągnąc za sobą ceny na wszystkie artykuły. Dyrektor Banku Narodowego Grecji VARVARESSOS, który objął „ekonomiczną dyktaturę" i próbował opanować sytuację, narzucając ceny na artykuły pierwszej potrzeby, i nic nie wskórawszy, ustąpił. Żebracze pensje urzędnicze nie wystarczają na najskromniejsze życie. Do niedawna pensja premiera wynosiła 30.000 drachm czyli około 1 funta złotego.

W zabawnym skeczu rewiowym wynędzniali, staniający się na nogach urzędnicy, z przerażeniem patrzą na balon unoszący się w górę z piękną, przybraną w złotą lamę kobietą, wyobrażającą złotego funta. Na skali obok maksymalny kurs jego jest zaledwię 20.000 drachm. Dużo się zmieniło od czasu namalowania tej dekoracji.

Tutaj każdy rząd zapowiada przede wszystkim reformy ekonomiczne i uregulowanie płac. Trudne to zadanie, bo na całość składa się masa zagadnień, przede wszystkim zaś sprawa komunikacji a co za tym idzie i handlu.

Zrujnowany kraj wojną i okupacją pozbawiony połączeń niegdyś floty handlowej i kolei żelaznej, oraz wszystkich środków komunikacji nie jest w stanie sam się podźwignąć. I dlatego pierwszym obowiązkiem aliantów, obradujących przy zielonych stołach w San Francisco, Poczdamie czy Londynie, jest natychmiastowe przyjście z pomocą swemu byłemu aliantowi, ażeby chać w części spłacić zaciągnięty dług u tego bohaterskiego narodu, który nie zważając na słabe siły ani przez chwilę w ciągu 5. lat nie złożył oręża. Zwłaszcza, że jest to jedyny wolny kraj w południowo-wschodniej Europie.

Na tle błękitu nieba greckiej jesieni ostro rysuje się szlachetna sylwetka Akropolu. W ciągu tysiącleci istnienia u stóp jego wrzały stale namiętności polityczne. I dlatego stoi on dziś obojętny na to wszystko. I stać będzie dalej... chyba, że spadnie bomba atomowa!

Regent grecki arcybiskup Damaskinos w rozmowie z gen. Sir Allan Brookiem, szefem Sztabu Imperialnego W. Brytanii i gen. Scobie.

Przyjaźń polsko-nowozelandzka

Z początkiem grudnia br. odeszła z Włoch druga przesyłka w ilości 15 skrzyń upominków pamiątkowych dla Tow. Polish Army League w Palmerston-North w Nowej Zelandii.

Przesyłka ta zawiera ponad 600 różnych eksponatów, na które składają się obrazy olejne, akwarele, szkice ołówkowe, karykatury, rzeźby z metalu i drzewa, aktualne wydawnictwa i inne drobne upominki pamiątkowe.

Dary te stanowią zbiorowy akt przyjaźni żołnierskiej, która datuje się od czasu kampanii libijskiej (rok 1941).

W tym też czasie tj. w grudniu 1941 r. w mieście Palmerston-North powstaje organizacja pod nazwą Polish-Army-League (Liga Polskiej Armii) z zadaniem opieki nad żołnierzem polskim w czasie wojny.

Założycielką tej organizacji jest p. Jaques — obecna sekretarka honorowa, która skupiła wokół siebie dzielny komitet nowozelandzki, a przy współudziale i harmonijnej współpracy hr. Marii Wodzickiej, żony konsula polskiego w N. Z. propagowała ideę przyjaźni polsko-nowozelandzkiej po całym Dominium.

W roku 1943 Referat Opieki 3 D.S.K. nawiązuje kontakt z powyższą organizacją i od tej chwili rozwój współpracy stale wzrasta.

Pierwszą akcją działalności Referatu Opieki jest organizacja upominków pamiątkowych na terenie oddziałów 3 D.S.K. W kwietniu 1944 r., pierwsza przesyłka upominków pamiątkowych dla Tow. P.A.L. — opuszcza Italię.

Reakcja w N. Z. była nadspodziewana. Skromne upominki, wykonane w czasie akcji ręka żołnierza polskiego urosły do poważnych eksponatów, oglądanych na wystawach większych miast przez tysiące Nowozelandczyków. Przesłano broszury przyczyniły się do zorientowania społeczeństwa nowozelandzkiego w ogólnych sprawach polskich. Życzliwe nastawienie prasy nowozelandzkiej dopełniło reszty. Wszystkie upominki wreszcie zostały przekazane Muzeum Narodowemu w Wellington.

Korespondencja żołnierzy z N. Zelandią posiada również swą wartość. Listy pisane przez żołnierzy docierają i do senatorów (sen. Harker), które bronią spraw polskich. Pani Wodzicka pisze, że proste listy żołnierskie znaczą więcej, jak stosy książek, czy prasy. I tak listy, upominki, odezwy i prasa przygotowały powoli grunt dla spraw polskich.

W r. 1944 Rząd N. Z. na czele z prem. Frazerem wyraził zgodę przyjęcia 720 dzieci polskich oraz 115 osób personelu wychowawczego.

Na budowę pomieszczeń dzieci i służby w obozie Pahiatua wyasygnowano ćwierć miliona funtów, tworząc idealne warunki dla małoletnich ofiar wojny.

Dnia 31. X. 1944. zawinął do portu Wellington statek załadowany małymi pasażerami, byłymi zesłańcami w Rosji sowieckiej.

Całe społeczeństwo nowozelandzkie, wszystkie organizacje społeczne, harcerstwo i szkoły powitały serdecznie dzieci polskie. Przybył również i prem. Frazer w otoczeniu Rządu. I konsul polski wraz z małżonką. Jedna z robotnic nowozelandzkich wydała cały swój zarobek tygodniowy, aby dzieciom zakupić lody. Powitanie i przyjęcie przybrało charakter manifestacji.

Z początkiem br. Referat Opieki im. 3 D. S. K. przystąpił do organizacji drugiej przesyłki upominków pamiątkowych dla przyjaciół w N. Z.

Wkrótce ten dorywczy dorobek żołnierza 3 D.S.K. stał się przedmiotem szeregu wystaw. Pierwsza odbyła się w miasteczku nad Adriatykiem w Cupramarittima. Otwarcia wystawy dokonał Dca 3 D.S.K. gen. Duch w tow. brygadierów nowozelandzkich oraz zaproszonej delegacji wojskowej i cywilnej.

Dalsze wystawy miały miejsce w Amandoli i Sarnano dla młodzieży gimnazjalnej i liceum.

Ostatnia wystawa została zorganizowana w Ascoli Piceno, dokąd przybył gen. Freyberg. W czasie przyjęcia gen. Duch wręczył gen. Freybergowi sztylecik artystycznie wykonany. Na ostrzu widniał napis: „Honor i Ojczyzna", oraz pozdrowienie nowozel. „Kia Ora". Pochwa skórzana miała znak Polski Podziemnej.

Wł. Szul.

INŻ. WIKTOR OSTROWSKI

Co wiemy o Afryce Wschodniej?

Nas, naturalnie interesują przede wszystkim sprawy naszej ludności cywilnej, rozsianej osiedlami po całym obszarze Afryki Wschodniej, warunki jej bytowania, wyżywienia, zakwaterowania, administrowania osiedli, sprawy społeczne, wychowanie młodzieży i tysiąc innych tematów, związanych z tym zagadnieniem.

Stare przysłowie powiada: trzeba zaczynać tańczyć — od pieca. Otóż tym „piecem" przy poruszaniu tego tematu musi być... geografia. Taki krótki rzut okiem na mapę, zapoznanie się w paru słowach z klimatem tych obszarów, nawet z ich historią i obecną administracją. Bez tego obraz byłby niepełny a nasze pojęcie — wypaczone.

Co wiemy o Afryce Wschodniej? Przyznajmy się, że bardzo mało. Prawie nic. Trzeba więc przede wszystkim uprzytomnić sobie, że „kraik" to nie mały! Sześć terytoriów, na które pod względem administracyjnym Afryka Wschodnia się dzieli, to znaczy: Kenya, Uganda, Tanganyika, Północna i Południowa Rhodezja i Zanzibar, w sumie zajmują powierzchnię znacznie przekraczającą milion mil kwadratowych! W odniesieniu do Europy jest to więcej niż powierzchnia W. Brytanii, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Belgii, Holandii, Niemiec, Austrii, Węgier, Norwegii i Szwecji razem! Sama Kenya jest większa od każdego stanu Ameryki Północnej za wyjątkiem jedynie Texasu!

I uprzytomnijmy sobie, że na całym tym obszarze mieszka zaledwie 16.000.000 ludności. W tym tylko 55.000 białych oraz 130.000 Hindusów i Arabów. Reszta to tubylcy-murzyni. Uprzytomnijmy sobie również, że ta ludność tubylcza jest bynajmniej nie jednolita. Blisko 600 rozmaitych „narodów" i szczepów, mówiących rozmaitymi językami i dialektami! Stanowi to niemałą trudność w administrowaniu tymi krajami. Obecnie, jako najbardziej rozpowszechniony, forsuje się „oficjalny" język tubylczy — „kiswahili". Jest to język, którym posługuje się większość szczepów zamieszkujących wybrzeże i Zanzibar, a ponieważ ongiś właśnie przez te wybrzeża — do Zanzibaru — prowadziły szlaki handlarzy niewolnikami i tędy, zapuszczając się głęboko w ląd, „łowcy czarnego towaru" gnali swoją zdobycz - język kiswahili siłą rzeczy stawał się „międzynarodowym" językiem tych biedaków. Podobno jest to nawet język piękny i bogaty.

Ogromna większość tubylców tkwi w dalszym ciągu w pogaństwie. Optymiści obliczają, że zaledwie około 8 procent przyjęło chrześcijaństwo.

Przy sposobności wspomnę, że w Afryce Wschodniej pod żadnym pozorem nie wolno zwracając się do tubylców, czy mówiąc o tubylcach (czarnych) używać słowa: murzyn-negro czy „czarny"! Jest to wielka obraza i może być powodem nieporozumień. Niestety, nasza ludność, może niezawsze należycie w tym względzie uświadomiona, często popełniała ten „nietakt". Oficjalna nazwa brzmi „Afrikan" albo „tubylec", albo nazwa szczepu, do którego ten należy, a więc naprzykład: Masai, Kykuyu itd.

Pod względem klimatycznym o Afryce Wschodniej absolutnie nie można mówić :a o jakiejś całości. Prawdziwy kalejdoskop. Czasami, jadąc niedaleko — naprzykład na odległość kilkudziesięciu mil, można dwa razy zmienić klimat. Dosłownie! Z klimatu zupełnie umiarkowanego trafić w prawdziwie tropikalny upał i znów być zmuszonym... wkładać marynarkę! Nieraz w czasie mojej podróży doświadczałem tego, że tak powiem — na własnej skórze. Wszystko zależy od wysokości położenia danego miejsca nad poziomem morza. Daleko na południu (w odniesieniu do naszych, europejskich pojęć — „daleko na północy") można pławić się we własnym pocie — szczękać zębami... na równiku! Obok (słowa „obok" nie należy rozumieć dosłownie) wilgotnego i tropikalnego klimatu wybrzeża oceanu Indyjskiego znajdujemy klimaty całkiem umiarkowane, jak naprzykład — trzech ogromnych płaskowzgórzy: „Kenya Highlands", „Southern Highlands" w Tanganyice i „Shire Highlands" w Nyasaland'zie. Takie płaskowzgórze Kenyi wznosi się naprzykład od 4.000 stóp n.p.m. a miejscami liczy aż 10.000 stóp! Na tym płaskowzgórzu zwiedzałem farmy. Cudowne, przebogate hodowle, kwitnące sady. Klimat — po prostu wymarzony. Wieczna wiosna w najlepszym jej wydaniu. Równik — pod bokiem, ale wieczorami... z przyjemnością przysuwałem się bliżej palącego kominka! Jadąc tam z wysoko również położonego Nairobi, musiałem jednak przekroczyć Great Rift Valey, czyli Wielką Rozpadlinę Tektoniczną (jej „północne" zakończenie to... dno Czerwonego Morza i Morza Martwego!) szeroką na kilkadziesiąt mil, i tam smażyłem się — uważając dobrze, by nie dostać porażenia słonecznego.

Przy okazji wspomnę, że właśnie na tym wzniesieniu Kenyi znajduje się jedno z naszych osiedli — osiedle szkolne w Rongai, a wysokość jego położenia równa się... wierzchołkowi naszej Babiej Góry!

O tych szczegółach wspominam, by wyraźniej podkreślić to — że tak rozmaite klimaty są w Afryce Wschodniej.

Poza jeziorami (jednymi z największych na świecie!) jeziorem Victorii, Tanganyiki i Nyasa — kraj właściwie jest suchy i dwie wielkie rzeki: Niebieski Nil i Zambezi, tylko w nieznacznym stopniu przyczyniają się do jego nawodnienia.

Afryka Wschodnia jest krajem młodym, nawet bardzo młodym. Nie trzeba tego również brać dosłownie, bo przecież właśnie tu, i to w latach tej wojny, dr Leakey, archeolog, odkrył najstarsze ślady człowieka przedhistorycznego, aż sprzed 200—250 tysięcy lat! Ale właściwie „odkrycie" Afryki Wschodniej, i początek eksploracji tych terenów, można śmiało odnieść do czasu przybycia tu Dawida Livingstone, to znaczy do roku 1849.

Rewelacyjne sprawozdania tego wielkiego pioniera cywilizacji wzbudziły w latach 1855-1880 ogromne zainteresowanie opinii publicznej w Anglii i Stanach Ameryki. Z historią Afryki ściśle wiążą się nazwiska wielkich następców Livingstona: R. Burtona, J. Speke i i H.M. Stanley'a. Byli to wspaniali przedstawiciele białej rasy. Pionierzy cywilizacji, odkrywcy i mężowie nauki w jednej osobie. I trud ich był doprawdy na miarę nadludzka. Wystarczy uzmysłowić sobie fakt, że sam tylko Livingstone w latach 1849—1873 przeszedł po niezbadanym i dzikim wnętrzu afrykańskim 10.000 mil!!! Piechtą!!! A trzeba pamiętać, że wówczas nie było szczepień przeciwko żółtej febrze, nieznane były tabletki mepakryny i surowice przeciwwężowe! A mucha „tsetse" była prawdziwą katastrofą dla bydła i koni...

Poza „odkryciem" Afryki jeszcze jedna rzecz trzeba zapisać na konto tego niezwykłego człowieka: rewelacyjne i płomienne artykuły Livingstona na temat handlu czarnymi niewolnikami poruszyły cały cywilizowany świat.

W roku 1873 rząd Wielkiej Brytanii zabronił kategorycznie transportu „czarnego towaru" przez terytoria swoich dominiów. Aczkolwiek pozostawała tak zwana „zielona granica" i możność.. szmuglowania tego towaru — zarządzenie to mocno poderwało znaczenie Zanzibaru — głównego targowiska niewolnikami. Handel haniebny był jednak tam uprawiany jeszcze bardzo długo. Wystarcza przytoczyć fakt, że misjonarz, brat Józefat (Nowicki), Polak, który przebywa w Afryce Wschodniej od 45 lat! — opowiadał mi, że to on sam na początku swego pobytu kupował w Zanzibarze (aby mieć robotników do budowy misji i... nawrócić ich na chrześcijaństwo) niewolników. Ceny były wówczas niewysokie. „przedwojenne", za rodzinę: mąż, żona i dwoje dzieci płacił... 30 szylingów!

Fot. inż. W. Ostrowski

„Malutkie" drzewko w jednym z osiedli. Baobab liczy 30 metrów w obwodzie.

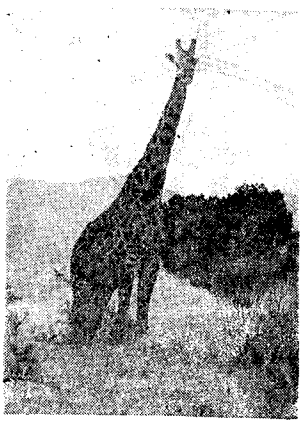

Fot. inż. W. Ostrowski

Nie wszystkie „wielkie i dzikie" zwierzęta są niebezpieczne. Żyrafa jest głupia, miła i doprawdy poczciwa.

Wiele wysiłków poniósł rząd W. Brytanii, by zmusić do zaprzestania tego procederu. Przekonywującym argumentem musiały być nawet... lufy dział. Ostatecznie, gdzieś w pierwszych latach obecnego stulecia w Zanzibarze oficjalnie zniesiono handel niewolnikami.

Ale te czarne chwile już przeszły do odległej historii. Nowa era rozpoczęła się w Afryce. Polityka W. Brytanii jest: podnieść poziom tubylców tak wysoko — by mogli sami decydować o swoim życiu. Pod tym względem wykonano już ogromną robotę, jest ona jednak — ułamkiem w odniesieniu do wielkości zadań i potrzeb.

Dość jednak historii. Po krótce trzeba wspomnieć o sposobach obecnej administracji tych obszarów. Przypomnę, że są to: protektoraty, kolonie i mandaty. Inne więc są prawa i inne sposoby administrowania na każdym obszarze. Każde terytorium ma swój rząd i swoje prawa. Swoją służbę zdrowia, szkolnictwa, bezpieczeństwa publicznego, dobrobytu itd.

Różnice czasami są znaczne, powiedzmy nawet zasadnicze. By to dobrze zrozumieć wystarcza przytoczyć taki przykład: Uganda (protektorat) ma swego króla albo nawet kilku królów („Kabaka" obecnie wyjechał do Anglii i... studiuje w Oksfordzie!), jest również wybieralny parlament tubylczy. W Ugandzie cała ziemia jest własnością tubylców i białemu naprzykład obecnie nie wolno nabyć ziemi na własność. Może li tylko (z wielkimi trudnościami) wydzierżawić na 46 lub 99 lat.

A Kenya jest tylko kolonią i jako taka jest rządzona.

Należy również uzmysłowić sobie możliwości komunikacyjne na tutejszych obszarach. Pod tym względem, mam wrażenie, nasze (w Korpusie) pojęcia są powiedzmy... niekompletne. Mówiono mi naprzykład o projekcie (przysłanym) zwołania zjazdu lekarzy polskich z Afryki Wschodniej w celu zawiązania Stowarzyszenia Lekarzy. Nonsens! Samo „zjeżdżanie się" z niektórych terytoriów trwałoby chyba z miesiąc! A tymczasem praca na miejscu? w szpitalach i osiedlach?

Jeżeli przyjrzymy się dokładnie (nie zapominać o skali!!!) mapie Afryki Wschodniej — zobaczymy, jak rzadkimi są linie kolejowe. Dodajmy do tego wiadomość, że linia kolejowa na mapie — wcale nie oznacza, że pociągi kursują codziennie. Na niektórych odcinkach bilet kolejowy trzeba zamawiać nawet na dwa tygodnie naprzód!

Drogi samochodowe. Wprawdzie na mapie sieć tych dróg przedstawia się imponująco, ale trzeba pamiętać, że dróg głównych („dróg" w naszym pojęciu) jest stosunkowo bardzo mało. Reszta to drogi „polne", często po prostu... ślad kół w buszu. Dodajmy — ograniczenia benzynowe. Kartki na benzynę. No i to — że kto nie posiada własnego samochodu — musi słono za przejazd takowym płacić. Sam — będąc w wyjątkowej sytuacji i mając wyjątkowe udogodnienia i ułatwienia, przejechałem już rozmaitymi drogami przeszło 10.000 kilometrów i to pozwala mi... trochę orientować się w trudnościach komunikacyjnych. Zaznaczę, że na ogół nasze osiedla są pomyślane przy głównych szlakach.

Kończąc ten ogólny artykuł o Afryce Wschodniej dodam, że prócz naszej ludności cywilnej (liczącej około 18.000) na tych terenach znajduje się również nieliczna grupa Greków, którzy obecnie, mając możność powrotu do wolnej ojczyzny, wyjeżdżają specjalnymi transportami do Mombasy i dalej, drogą morską, do Grecji, oraz 20 parę tysięcy włoskich jeńców wojennych. Część tych ostatnich — jako przeciwnicy ustroju faszystowskiego, cieszą się swobodą i pracują w rozmaitych zakładach i po farmach. Zwolennicy rządów faszystowskich nadal naturalnie siedzą w obozach za drutami.

Wspominam o tym, by podkreślić, że na tutejszym terenie problem napływowej, „wojennej", ludności białej, w odniesieniu do tych 55 tysięcy Europejczyków zamieszkałych jeszcze przed wojną — stanowi poważne zagadnienie.

Fot. inż. W. Ostrowski

Klasy szkolne w Rongai (Kenya) mają na ścianach wycinki z „Parady", obrazki z życia naszego...

Nowe książki

Młodość, miłość, awantura — Piotr Choynowski — cena za egz. 50 lirów.

Nasze granice w Monte Cassino — Antologia walki — oprac. Jan Bielatowicz — Rzym 1945 — cena za egz. 65 lirów.

Gody Życia — Adolf Dygasiński — cena za egz. 50 lirów.

Podręcznik do nauki języka angielskiego — w 30 lekcjach — Mgr Dominik Maciejko — Rzym, 1945 — cena za egz. 60 lirów.

Pan Tadeusz — Adam Mickiewicz — Rzym, 1945 — cena za egz. 70 lirów.

DOROTA OBUCHOWICZ

PRASA KRAJOWA I P

Staraniem przedstawicielstwa tzw. rządu warszawskiego przy Kwirynale pokazały się w Rzymie czasopisma z Kraju. Można kupić dzienniki, tygodniki, miesięczniki, pisma ilustrowane i broszurki propagandowe. Są fotografie gmachów i pomników dawnej Warszawy oraz gruzy lub pustki dzisiejszej. To wszystko rozłożone w witrynie pod skrzydłami bierutowego orła, wiekowego herbu Rzeczypospolitej Polskiej, dziś w Polsce odartego z królewskiej korony.

Polacy kupują, oglądają, czytają, głodni wieści z Ojczyzny, żywego słowa z kraju, ciekawi ilustracji.

Jakże też wygląda ta Warszawa? Kraków? Wieś polska? Śląsk? Wojsko? Fabryki? Szkoła? Są ładne obrazki, bo i Wawel, i bocianie gniazdo na strzesze, i procesja Bożego Ciała, i manifestacje na Rynku Krakowskim, i rozbłysłe światłami śląskie fabryki, są krakowianki i chłop za pługiem na przydzielonych mu zagonach, są też widoki zniszczonej Warszawy, ale i zdjęcia z prac nad jej odbudową, są fotografie z Gdańska, Gdyni, polskiego morza...

A więc wydawało by się, że nie tak źle, jak się wciąż czyta w prasie emigracyjnej. Jest „rząd" i wojsko, ludzie się śmieją, sklepy zaopatrzone, zwłaszcza spożywcze, kościoły otwarte, dzieci się uczą. Sowietów na obrazkach nie widać, a w gazetach nic o nich nie piszą. Pewno ich nie ma, albo tak mało, że nikomu nie zawadzają. Rota przysięgi żołnierskiej też zupełnie inna, niż podawały pisma emigracyjne...

Czemu nas bujają? Każdy człowiek chce wiedzieć prawdę — mówią ludzie niektórzy a nikt nie lubi być bałamucony. Tak tam ładnie w Polsce, ludzie przecie tam żyją, pracują, czemu nie wrócić?

■

Czemu? Bo jest i n a c z e j, jak na obrazkach, i n a c z e j, jak piszą w gazetach krajowych.

Kto nie czytał tej prasy w Polsce, kto nie mógł porównać życia bieżącego z tym, jak je przedstawiają dziennikarze, ten nie dojdzie prawdy z czasopism krajowych. Trzeba się nauczyć czytać między wierszami i nauczyć nowej terminologii; trzeba wiedzieć, o czym się pisze stale, co się rozdmuchuje i wyolbrzymia, co zaś przemilcza mimo, że bije w oczy, co pomija albo swoiście omawia.

Trzeba wiedzieć, że do niedawna jedyne cztery partie przez „rząd" pana Bieruta uznane, mimo swoich różnych nazw, służą tylko programowi „rządu" i nie odpowiadają dawnym partiom o tych samych nazwach, jawnie zaś reprezentuje program komunistyczny Polska Partia Robotnicza, tzw. P.P.R. (Płatne Pachołki Rosji jak ich nazywali za okupacji niemieckiej), ekspozytura i agencja Sowietów.

Trzeba wiedzieć, że „demokracja", „demokratyczność", „demokraci", rządy „demokratyczne" i partie „demokratyczne" — to komunizm i zawsze t y l k o komunizm. „Reakcja" zaś, czarna reakcja, faszyzm, hitleryzm, wstecznictwo i kołtuństwo oznaczają bez braku wszystko c o n i e jest komunizmem, czyli prawie całą Polskę w duchu swym niezależną i nieuległą.

Z jękiem brało się w kraju co dnia dziennik do ręki, żeby wiedzieć o czym też piszą, domyślać się znaczenia tego, co piszą i stwierdzić o czym n i e piszą — potem odrzucało się go ze wstrętem i znużeniem.

Chyba najgorsze, najuciążliwsze dla nas ludzi myślących i czytających było to z a k ł a m a n i e myśli i słowa, ten przewrotny i plugawy, nieraz aż zbyt grubo szyty fałsz. Kłamstwo kładło się na nas moralnym kamieniem i dosłownie dławiło.

■

Czytaliśmy w prasie bierutowej o przedstawicielach „byłego londyńskiego rządu", którzy odmawiają Polaków od powrotu do kraju, mnożąc rzeszę emigracyjną, siejąc zamęt w umysłach, oczerniając Polskę „niepodległą i demokratyczną". Czytaliśmy o oficerach polskich, kierujących umyślnie transportami repatriantów tak aby nigdy do kraju nie dojechały. Czytaliśmy o „zbrodniach gen. Andersa", który wyprowadził żołnierzy polskich z Rosji, skazując ich na „bezcelową tułaczkę i próżne przelewanie krwi po obcych lądach i morzach" — ale nie czytaliśmy ilu z tych, których Anders nie zdołał wyprowadzić wtedy z „ziemi niewoli", wymarło w więzieniach, obozach i na syberyjskich osiedlach, a ilu cierpi tam dotychczas. Nie czytaliśmy też nigdy w prasie jawnej w kraju o bohaterskich walkach polskiej armii w Afryce, Italii, Francji, Belgii, Holandii, które rozstawiły imię Polski na cały świat, o pracy społecznej, oświatowej, wydawniczej 2. Korpusu, o szkołach wojskowych w Szkocji, o uniwersytetach, czasopismach i dziełach naukowych wydawanych wszędzie tam, gdzie się zawiązało jakieś życie polskie gdzie twórcza myśl mogła się swobodnie wypowiedzieć.

Czytaliśmy dużo o nowej Berlingowo-Żymierskiej armii polskiej, o manifestacjach i przysięgach, obchodach i hołdowniczych adresach, nominacjach i spontanicznych akcesach; czytaliśmy o tym w gazetach i widzieliśmy na własne oczy, słyszeliśmy na własne uszy, jak się to wszystko montuje, jak się ludzi spędza na te manifestacje, organizuje „jednogłośnie" rezolucje, pisze hołdownicze adresy, dobiera podpisy... I nie czytaliśmy o tym, jaki biedny jest ten żołnierz w Polsce, ten co przyszedł z Rosji w tęsknocie za krajem i ten z poboru z ziem kresowych i rdzennie polskich, jaki głodny, nękany przez politruków (oficerowie politycznego wychowania), jak nienawistnie odnosi się do swoich władz, od majora wzwyż rosyjskich oficerów, nie znających nawet języka polskiego, albo zaprzedanych Sowietom Polaków. Nie, nie czytaliśmy o tym, ale dotykaliśmy się tej bolesnej rzeczywistości każdym naszym nerwem. Nie wiemy też, bo prasa zachowuje na ten temat kompletne milczenie, co się stało z Berlingiem, pierwszym dowódcą tej armii, z przekonań komunistą, ale podobno, poczuwającym się do polskości, który zniknął obecnie bez śladu?

W Warszawie po powstaniu 1944 r. — Rys. Tadeusz Wąs.

Czytamy w gazetach krajowych o wspaniałym powiększeniu terytorium Polski, przydzielonymi jej ziemiami aż po Odrę i Nisę, oraz o bogactwach tego kraju, ale nie czytamy, że na ziemiach tych panuje chaos i grabież, że administracja polska jest bezsilna wobec gwałtów wojska sowieckiego i przemocy sowieckich garnizonów, że nieraz sami starostowie, burmistrzowie i wójtowie, sami kierownicy „państwowych" urzędów repatriacyjnych (P.U.R.) łupią kraj na spółkę z Sowietami, uniemożliwiając wszelki organiczne zaludnianie go. Że tysiące i dziesiątki tysięcy tzw. „repatriantów", czyli Polaków zza Bugu i Sanu, wysiedlonych przymusowo ze swych wsi i miast, z resztą ubogiego dobytku, koczują na stacjach, pomiędzy torami, wzdłuż szos i rzek, zwożeni tu transportami wyładowywani w szczerym polu lub w miastach zupełnie nieprzygotowanych na ich przyjęcie, zalegających kilometrowe przestrzenie nad Odrą, ginących z głodu, chłodu, epidemii, bez opieki sanitarnej, pomocy żywnościowej, bez dachu nad głową, we wrześniu i październiku...

Czy to tylko nieodbalstwo i obojętność władz miejscowych i administracji PUR? Ludzie ci, Polacy ze Wschodu, element, który przeszedł już bardzo wiele, zaprawiony do walki i zahartowany życiowo, czy nie jest może całkiem celowo skazany na wyniszczenie i wygubienie? To straszne przypuszczenie rodzi się w obliczu tej nędzy na torach stacji katowickiej, tych koczowisk pod skleconymi z prętów i szmat szałasami, skazanych na conocne rabunki sowieckiego żołdactwa, na nieustanne gwałty kobiet.

Ale o tym się w prasie n i e p i s z e, przeciwnie, wylicza się ilość pchanych na zachód pociągów „repatriacyjnych"; (jako sukces organizacji) tysiące osiedlanych już tam Polaków, tysiące zapotrzebowań na rzemieślników i różnych fachowców, tysiące gospodarstw do objęcia i te właśnie dane przedrukowują skrzętnie organy z tamtej strony.

Istotnie są ludzie co się już o coś zaczepili na Zachodzie Polski, którzy stworzyli sobie tam jakieś prowizorium; na ogół jednak, oprócz transportów przymusowych ze wschodu, ciągnie na tak zwany „dziki Zachód" element awanturniczy, który nie zamierza się tam osiedlać. Za niemieckich czasów przemytnicy i szmuglerzy, dziś są „szabrownikami" bo szabr to po prostu grabienie cudzej własności, przeważnie „jakoby" państwowej a właściwie bezpańskiej. Szabrownicy spieniężywszy swoje „łupy", ruszają po nowe zdobycze.

„Sowiety wezmą — to wolę ja! — tłumaczą się owi „pionierzy" — bezpańskie dobra, niemieckie; ilż nam oni, psubraty, zabrali, całymi pociągami wywieźli? Choć trochę się odbijem, choć tym co na grzbiecie wyniesiem..."

Ale tak robią, tak mogą robić, ci co żyjąc z „wypadków" mają gdzie wracać, tamci, bezdomni są zdani na łaskę i niełaskę władz miejscowych i swego wygnańczego losu. Milicja polska, albo żołnierze sowieccy dwa razy na trzy „ulżą" szabrownikowi, ale tm trzeci raz jeszcze się opłaca, zaś skonfiskowany towar idzie znowu za psią cenę między ludzi. Taki jest „obrót" towaru i tak się dziś żyje w Polsce...

„D e z e r t e r z y z a r m i i r o s y j s k i e j o r a z b a n d y r a b u s i ó w w m u n d u r a c h s o w i e c k i e g o w o j s k a — głoszą ostrożnie wzmianki w pismach krajowych — d o p u s z c z a j ą s i ę n i e j e d n o k r o t n i e n a d u ż y ć..."

Do tych „nadużyć" należy między innymi, grabienie repatriantów z Zachodu, czyli rzesz powracających z robót w Niemczech. Mniej więcej co drugi, czyli 50% tych powracających, jak to mogłam stwierdzić, pracując latem b.r. w Komitecie Opieki Społecznej (dział rejestracji) bywa ograbiany nie tylko ze swego bagażu, ale też z dokumentów osobistych. Często zabierano repatriantom nawet płaszcz, niekiedy też buty i marynarki. W razie oporu groziła kula, albo śmiertelny cios kolbą.

„Milsze mi jednak życie od tych „łachów" mówili mi ci nieszczęśliwi, kiedy się dziwiłam, że nie stawiają oporu takiemu bezprawiu — „milicja polska jest równie bezsilna, bo w mniejszości."

Czy tylko graniczna straż sowiecka uprawia taki proceder? Nie tylko. W kraju na kolejach, szosach, stacjach dzieje się to samo. Podróżować nocą, to grubo ryzykować; a także chodzić po mieście wieczorami. Noca słychać strzały, wołanie o pomoc, pijackie krzyki i pieśni rosyjskie. We wrześniu troje moich znajomych było ograbionych na ulicy w godzinach przedpółnocnych; jeden z nich profesor konserwatorium wracający z koncertu przy ul. Focha, przy Błoniach; o szeregu innych wypadkach grabieży i kilku zabójstwach słyszałam od wiar godnych osób. Ktoś się uśmiecha zarzucając kobietą, ktoś broni się przed złodziejami, dor żkarz nie chce wozić pijanych Sowietów, żołnierz oddać wojskowy samochód — dostaje kulą w łeb.

„Milcz, bo cię jak psa zastrzelę! — powiedział memu siostrzeńcowi pijany oficer sowiecki w biały dzień w kawiarni, kiedy chłopiec starał się uwolnić kuzynkę od zaczepek Rosjanina; cała zastawa sto-

KONKURS — ANKIETA „Orła Białego"

1. WARUNKI KONKURSU

Redakcja „Orła Białego" ogłasza konkurs — ankietę z nagrodami na temat:

„Która z wydanych przez Bibliotekę „Orła Białego" książek podobała mi się najbardziej i dlaczego?".

W odpowiedzi należy uwzględnić tylko jedną książkę spośród wymienionych obok wydawnictw Biblioteki „Orła Białego".

Odpowiedzi wraz z uzasadnieniem (całość nieprzekraczająca 3 stron maszynopisu lub rękopisu, odpowiadającego im wielkością) należy nadsyłać na adres Redakcji „Orła Białego" (C. M. F. Polish Forces 62) z dopiskiem na kopercie „K o n k u r s — a n k i e t a".

Odpowiedź powinna być podpisana godłem, które umieścić również należy na zaklejonej kopercie, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Termin nadsyłania odpowiedzi: 1 marzec 1946 r.

Jako wskaźnik przyjmuje się datę nadania odpowiedzi na polowej poczcie oddziałowej.

Redakcja „Orła Białego" wyznacza za najinteligentniejsze odpowiedzi trzy nagrody pieniężne w wysokości:

I nagroda	—	6.000 Lir.
II „	—	4.000 Lir.
III „	—	2.000 Lir.

o r a z 10 n a g r ó d k s i ą ż k o w y c h.

Redakcja „Orła Białego" zastrzega sobie prawo drukowania na łamach pisma ciekawszych odpowiedzi ankietowych, nawet nienagrodzonych.

Redakcja „Orła Białego", traktując ten konkurs również jako ankietę, mającą na celu zbadanie zainteresowań czytelników 2. Korpusu, ogłosi jej wynik w formie tabeli pod nazwą „10 ulubionych książek 2. Korpusu".

W związku z tym Redakcja „Orła Białego" prosi Kolegów o jak najliczniejsze uczestnictwo w niniejszym konkursie.

Odpowiedzi nagrodzone pierwszymi trzema nagrodami będą drukowane na łamach „Orła Białego".

Niezastosowanie się do jednego z warunków konkursu powoduje automatycznie wyłączenie odpowiedzi z konkursu i włączenie jej tylko do obliczeń ankietowych.

Do jury konkursu — ankiety „Orła Białego" zaproszeni zostali:

P.P. Szef Oddziału Kultury i Prasy, Kierownik Red. Czasopism i Wydawnictw Wojskowych, Naczelny Redaktor „Orła Białego", Nacz. Redakt. „Ochotniczki", Melchior Wańkowicz, ppr. Bielatowicz, Podch. Herling-Grudziński.

PRASA EMIGRACYJNA

lika znalazła się na ziemi, a młodzi zdołali zbiec.

Mieszkałam w Krakowie, na Rakowieckiej, i dzięki temu byłam świadkiem dwóch symbolicznych pogrzebów. W pierwszym chowano młodego harcerza zastrzelonego na ulicy, kiedy stawał w obronie kobiety. Kolega zbiegł i doniósł rodzinie. W drugim chowano dorożkarza. Koń z dorożką wrócił sam do domu, zwłoki znaleziono nazajutrz na ulicy, a przy zwłokach żołnierską czapkę sowiecką.

Pogrzeby te miały charakter manifestacji narodowych, w tym wypadku istotnie samorzutnych. Przed trumną harcerza szły hufce kolegów ze sztandarami i niesiono wieńce o barwach narodowych, za trumną szedł tłum ludzi, który zabitego chłopaka nie znał za życia nawet z imienia, ale, który pragnął uczcić ofiarę nienawistnej przemocy. Cała ulica brała udział w tej manifestacji.

„Niech pani się śpieszy; wszyscy musimy być na tym pogrzebie" powiedziała mi jakaś nieznajoma sklepowa na Rakowieckiej.

Za dorożkarzem jechało około stu, a może więcej dorożek. Z odkrytymi głowami odprowadzali krakowscy fiakrzy zamordowanego kolegę na wieczny spoczynek.

Czy kto agitował, lub nawoływał do tych manifestacji? Absolutnie nikt.

W prasie oczywiście nie było wzmianki o tych i podobnych wypadkach.

Dlaczego nie pisać o tym, o czym wszyscy wiedzą, czego każdy doświadcza, co każdego napełnia lękiem, żalem i grozą? „Nie trzeba ich drażnić!" — brzmi tajemnicza odpowiedź cenzorów drukowanego słowa.

■

Czytaliśmy w prasie krajowej o „wstecznictwie naszych uniwersytetów", w szczególności Uniwersytetu Krakowskiego i krakowskiej Akademii Umiejętności; o „faszystowskich sympatiach młodzieży akademickiej", o konieczności usunięcia tych „zatrutych elementów" tak z profesorskich zespołów, jak i z szeregów młodzieży — czytaliśmy i wiemy co o tym sądzić, bo profesorowie to nasi dawni mistrzowie, ludzie światli i prawi Polacy, którzy znosili i znoszą nędzę z podniesioną głową i patrzyli śmiało śmierci w twarz, ale którzy nie pogodzą się z ograniczeniem myśli badawczej, nie będą w swoich wykładach i na akademiach przeinaczali prawdy, nie wyrzekną się dobrowolnie autonomii wyższych uczelni, wymuszonych adresów i pochlebnych hołdów dla Stalina, nie inicjują, ani podpisują, ale mają odwagę składać publiczny hołd bohaterstwu narodowemu i społecznej zasłudze.

A ta młodzież „faszystowska"? To nasi bracia i synowie, żołnierze armii podziemnej i uczniowie tajnych kompletów, to dziewczęta głodne nauki. Dzieci te były od sześciu lat tępione, tropione i dziesiątkowane za swoją polskość i tajną naukę, to synowie pomordowanych w Oświęcimiu, Dachau, Buchenwald, dzieci oficerów którzy znaleźli śmierć w Katyniu i na dnie Morza Białego, w więzieniach i obozach sowieckich; to młodzież, która nie chce kłaść głowy pod nowe jarzmo, chce się uczyć, a nie manifestować i „hołdować" Stalina czy pana Bieruta, wyrażać zaś swoje sprzeciwy może tylko milczeniem i nieobecnością na zwoływanych przez komunistów zbiórkach i ich „polityczno-wychowawczych" wykładach, narażając się ponownie na aresztu, śledztwa i ponadto usunięcie z uczelni.

Czytaliśmy o rozbudowie szkolnictwa, o wysokiej misji nauczyciela, o zmianie programów szkolnych w duchu „Polski niepodległej i demokratycznej"; wiemy zaś, że reformy programów dążą do ogólnego obniżenia poziomu nauczania, do dehumanizowania szkół, wiemy, że mimo głośnych haseł i zapowiedzi, ani jeden podręcznik szkolny nie wyszedł przed rozpoczęciem roku szkolnego, że ten brak podręczników paraliżuje ofiarną pracę nauczycieli, pobierających dotychczas głodowe uposażenia lub tylko zaliczki na pensje.

Czytaliśmy o czytelnictwie, jego znaczeniu wychowawczym, wspaniałych wzorach czytelnictwa w Związku Sowieckim, projektowanej ustawie bibliotecznej, planowanej sieci bibliotek gminnych itd. — wiemy zaś, że dziś już prawie monopolistyczna współdzielnia wydawnicza „Czytelnik" (coś jak sowiecki „Gosizdat") nie wydał ani jednej powieści, mimo, że szereg pisarzy złożyło wydawnictwu swoje rękopisy, ani jednego wznowienia klasyków polskich, z seryj zupełnie dziś wyczerpanych popularnych wydawnictw pomników polskiego piśmiennictwa, wznowień projektowanych, omawianych, opracowywanych; ani jednego dzieła naukowego...

„Czytelnik" wydał owszem kilka broszur propagandowych jak „Kapitał" Marksa, „Leninizm i Stalinizm", „Filozofia materialistyczna" i może kilka jeszcze ulotek w tym samym duchu oraz parę szczupłych zbiorków wierszy (3 czy 4) i to poetów, będących całkowicie na usługach reżymu. Papier, o który zawsze jest trudno pod zaborem sowieckim, uległ rekwizycji, wydawnictwa prywatne, posiadające jakieś utajone zapasy, kryją się z tym w obawie przed konfiskatą. Pozwolenie na wydanie książki jest uzależnione od przydziału papieru, a przydziałów zasadniczo się nie daje w obawie niepożądanych dla reżymu publikacji.

Jeden z najbardziej rzutkich wydawców krakowskich, mający szereg rękopisów gotowych do druku, dostał pozwolenie na wydanie nowej przeróbki książki bardzo starej, bo... „Robinsona Kruzoe", wznowienie „Wiosny Greckiej" Hanny Malewskiej i jakiejś czytanki szkolnej. Do początków października był się ukazał na półkach księgarskich — oprócz propagandy — tylko „Robinson Kruzoe" jako jedyna „nowość"!

„Tygodnik Powszechny" wydaje Krakowska Kuria Biskupia. Jest to pismo katolicko społeczno-literackie i, o ile to dziś możliwe, niezależne. „Tygodnik" nie schlebia i nie fałszuje prawdy, dzięki temu jest bardzo poczytny i wszędzie upragniony, toteż nakład ograniczono mu do 15 tysięcy, mimo że zapotrzebowanie sięga 60 tysięcy. Inne literacko-społeczne pismo „Odrodzenie", organ reżymu, a więc subwencjonowane, ma nakład półtora razy większy, kolportaż zapewniony, płaci podwójne stawki autorom i ma nieograniczony przydział papieru. Na założenie popularnego dziennika katolickiego w tym samym duchu, co „Tygodnik Powszechny", nie można było uzyskać pozwolenia.

Czytamy ostrożne jeszcze inwektywy na kler katolicki za jego nieprzejednane stanowisko w sprawie dziś już obowiązujących ślubów cywilnych, o zniesieniu obowiązków kościelnych a także za to, że na zakończenie hymnu „Boże coś Polskę" lud śpiewa „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie...". Jak to wrócić, kiedy jest wolna? A jednak wierni nie chcą śpiewać ... „racz zachować...".

„Za naszą i waszą Wolność" — Warszawa, 1944 r. — Rys. Tadeusz Wąs.

KONKURS — ANKIETA
„Orła Białego"
2. SPIS KSIĄŻEK

1. Geopolityka, strategia i granice — Ryszard Wraga.
2. Z doświadczeń przeszłości — Julian Łukasiewicz.
3. Rok 1863. — J. Piłsudski.
4. Polskim szlakiem, część II. — J. Piłatowa.
5. Polskim szlakiem, część III. — J. Piłatowa.
6. Wrześniowym szlakiem — J. Łużyc.
7. Lęgnickie pole — Z. Kossak-Szczucka.
8. W laboratorium radości życia — Dr W. Szyryński.
9. Azja i Afryka — J. Bielatowicz.
10. Album Monte Cassino — Z. Turkiewicz.
11. Wspomnienia Starobielskie — J. Czapski.
12. Przewodnik serdeczny — B. Kobrzyński.
13. Artykuły zebrane — A. Bocheński.
14. Wracające żagle — J. Wedow.
15. Prostą jak sosna wyrosnąć — J. Olechowski.
16. Polskim szlakiem, część I. — J. Piłatowa.
17. 150-lecie rzezi Pragi — M. Grydzewski.
18. O powołaniu naszego pokolenia — A. Brzoza.
19. Rozmowa z księżycem — J. Żywina.
20. Pamiętniki Murawiewa.
21. Wolność tragiczna — K. Wierzyński.
22. Nurt — W. Beront.
23. Cele wojenne Polski — A. Pragier.
24. Dzieje rodziny Korzeniewskich — M. Wańkowicz.
25. O rewolucji — R. Wraga.
26. Wojna rosyjsko-niemiecka — R. Wraga.
27. Tajfun — J. Conrad.
28. Czerwone działy — M. Święcicki.
29. Polska a kapitalistyczna interwencja w stosunku do ZSRR. — B. Andreus.
30. Kraj bez Quislinga — S. T. Norwid.
31. W cieniu zapomnianej olszyny — J. Kadon-Bandrowski.
32. Żywi i umarli — G. Herling-Grudziński.
33. Kamienie na szaniec — J. Górecki.
34. Ludzie sponiewierani — H. Naglerowa.
35. Opowieści o Szwejku — W. Solski.
36. Smocza 13. — S. Zahorska.
37. Wrażenia więzienne — G. Daniłowski.
38. Smuga cienia — J. Conrad.
39. Wyrąbany chodnik — G. Morcinek.
40. Henryk Dąbrowski — M. Grydzewski.
41. Quo vadis — H. Sienkiewicz.
42. Eros na podwórzu — J. Wiktor.
43. Od Ostrej Bramy do 8-mej Armii — T. Zajączkowski.
44. Polska w kulturze powszechnej —
45. Duma o hetmanie — S. Żeromski.
46. Srogi pies i sentymentalny zając — J. Wiktor.
47. Biją w tarabany — M. Pawlikowski.
48. Za siedmioma rzekami była Bolonia — M. Święcicki.
49. Powieści chińskie — W. Sieroszewski.
50. Życie i śmierć gheta warszawskiego — J. Luber.
51. Ustrój sowiecki — R. Wraga.
52. Pan Tadeusz — A. Mickiewicz.
53. Ziemia-wilczyca — K. Wierzyński.
54. Gody życia — A. Dygasiński.
55. Nasze granice w Monte Cassino — J. Bielatowicz.
56. Młodość, miłość, awantura — P. Choynowski.
57. Wspomnienia ze szlaku żołnierza-tułacza — H. Piątkowski.
58. Filozofia romantyzmu polskiego — S. Brzozowski.
59. Za winy niepopełnione — I. Wasilewska.
60. Bolszewizm i religia — W. Kania.
61. Sprawiedliwość sowiecka — Mora i Zwierniak.

Oczywiście wpływy „czarnej reakcji"!

■

Czy można sobie wyrobić na podstawie prasy krajowej obraz życia w kraju?

Nie, nie można, bo poza celowym i planowym przeinaczaniem faktów jest stosowane przemilczanie. Przemilcza się gwałty, rozboje i samowolę wojska sowieckiego w Polsce; nie dopuszcza się dyskusji na temat umowy handlowej pomiędzy Rosją a Polską, tak krzywdzącą tę ostatnią; nie pisze się o reparacjach wojennych, zaległych od dobrej woli Rosji; o urzędowych i nieurzędowych rekwizycjach rosyjskich na terenie Polski, a zwłaszcza na ziemiach zachodnich; nie pisze się o metodach rozdziału pomocy U.N.R.R.A., ponieważ nikt prawie tej pomocy nie zaznał, mimo licznych transportów, które doszły do kraju i były notowane w pismach. Podobno z pomocy odzieżowej korzystają członkowie P.P.R., co mogłam sprawdzić na własne oczy, wówczas, gdy ludzie wracający z zachodu i ograbiani na granicy, oraz ludzie jadący ze wschodu i nieliczne transporty repatriantów z głębi Rosji, często nadzy i bosi, nic nie mogą uzyskać.

A wreszcie nie pisze się w gazetach nigdy, nie dopuszcza nawet wzmianki o Wilnie, Lwowie i całym kraju na wschód od Bugu i Sanu, tak jakby tego kraju na świecie nie było, jakby te miasta zostały wymazane z karty geograficznej, tak jakby to milczenie mogło kiedykolwiek zatrzeć w naszej pamięci ich obraz i wspomnienie. Zamiast województw wschodnich, włączonych do Z.S.S.R., dostaliśmy z łaski Stalina (to był jego gest ku zgodzie!) piastowskie ziemie na zachodzie. Za Wilno i Lwów mamy mieć Wrocław i Szczecin. Niemców się wysiedli, Polaków ze wschodu przesiedli.

„Wszędzie można umierać!" — mówią sowieccy ludzie. Tak, wszędzie, wiemy o tym. Ale żyć człowiekowi wykorzenionemu nie zawsze można, nawet rośliny przesadzone w inną glebę usychają, zaś ludzi w Sowietach przesiedla się nie jak rośliny, ostrożnie, nie naruszając możliwie korzeni, czekając odpowiedniej pory roku, ale tak jak kamienie, cegły lub gruz. Tu się ładuje, tam wyładowuje.

„Wszędzie można umierać...". I ludzie tak przesiedlani umierają.

■

Ale czemu prasa emigracyjna podała inny tekst przysięgi żołnierskiej, aniżeli ten, który podał „Żołnierz Polski", ilustrowane pismo krajowe?

Bo przysięga żołnierska z 1944 r. za czasów tzw. „Komitetu Wyzwolenia Narodowego" w Lublinie była inna, niż obecnie za tzw. „Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej", kiedy wojsko w kraju nie stanowi już formalnie części armii sowieckiej, ale jest jednostką rzekomo niezależną. Żołnierz w kraju nie przysięga dziś na Stalina, chociaż jest bezpośrednio zależny od sowieckich oficerów, oni zaś od swoich władz...

■

A czy jest tak, jak piszą gazety tutejsze? Też nie tak. Przedstawić całą prawdę trudno, nawet niemożliwe. Gazety czytają tysiące ludzi, trzeba tak pisać, żeby wszyscy zrozumieli, trzeba rzeczy i sprawy upraszczać, pisać to, co najważniejsze, co wszyscy wiedzieć powinni.

Ludzie, co tu gazety wydają, co piszą je dla polskich żołnierzy i dla polskiej emigracji, są w sumieniu swoim przekonani, że trzeba nam stać niezłomnie na stanowisku walki o istotną niepodległość Polski, że nie wolno nam godzić się na oddanie Sowietom pół Polski, na poniewierkę milionów ludzi, wydziedziczenie, nędzę i mękę tych, którzy zostaną niewolnikami sowieckiego państwa-potworu. Nie wolno nam godzić się na zależność Polski od Rosji, na jej odcięcie od kultury Zachodu, na jej sowietyzację w ustroju, pismach, szkołach, na wtłoczenie jej w nienawistny każdemu kochającemu swobodę Polakowi ustrój szablonu i bezdusznej formuły, skłamanych haseł demokratycznych i niepisanej pogardy dla człowieka.

Polska jest przez Sowiety okupowana i rządzona z Moskwy wedle powziętego z góry, znanego, sowieckiego programu. Prasa emigracyjna przedstawia i wyjaśnia ludziom tę katastrofę. Gazety tutejsze nie piszą o tym, co w Polsce zachowało się dobrego: o jej ziemi, rodzącej zboże i kwiaty, o jej pięknych górach i lasach; nie piszą o niebie i rozpiętych nad niem skrzydłach bocianich, o złotych jesieniach i białych zimach, nie piszą o ludzkich poczynaniach, nacechowanych upartą wolą trwania, płynących z wiary i nadziei na przekór klęskom.

Urok ziemi naszej zachowamy w zawsze wiernej pamięci, w trwanie narodu wierzymy, ale musimy pomóc mu w tym przetrwaniu, po to tu jesteśmy, dla tego nie wracamy do Ojczyzny.

Niezałżna myśl w kraju skazana jest na milczenie. Emigracja musi myśleć i pisać; musi wołać nie! Tak, jak jest teraz w Polsce, być nie może, nie będzie! **Nie pozwalamy!**

HERMINIA NAGLEROWA

Autor „Pałuby"

Wspomnienie

Nie wiadomo, dlaczego tak się ułożyło, że kiedy mówiono o Boyu zaraz przeciwstawiano mu Irzykowskiego. I odwrotnie. Być może, że łączyło, czy też raczej coś (chyba wszystko) dzieliło tych dwóch pisarzy jeszcze z czasów krakowskich, gdzie u schyłku ubiegłego stulecia i przed wojną 1914-18 obaj, każdy inaczej, epatowali świat literacki, a zwłaszcza krakowskich „Buergerów" lub „Bourgeois".

Jak się tam czuł Irzykowski, z Brzeżan rodem, więc z tzw. Galicji wschodniej — nie wiem. Myślę jednak, że nie najlepiej i że na całe życie pozostał w nim cierń, więc głęboki uraz krakowski. Miało to jakiś związek ze Stanisławem Brzozowskim, który w owe czasy rozstrzygał w sprawach literatury. Irzykowski był „uraźliwy" i postępując według recepty Aldera, przezwyciężał swoje poczucie mniejszej wartości zaczepnie, kłótliwie, ambitnie. Poczucie to brało się też z zacinania się w mowie, co szczególnie dawało się we znaki w dyskusyjnym ferworze.

W takiej właśnie gorącej szermierce słyszałam go i widziałam go po raz pierwszy na jakimś zebraniu literackim w Warszawie. Może to było w Klubie Artystycznym w gmachu hotelu Polonia, może w Związku Zawodowym Literatów w lokalu na Brackiej, napewno jednak działo się to gdzieś w samych początkach Polski Odrodzonej. Czarniawy, brodaty, przypominał Irzykowski typ profesora francuskiego i choć bardziej sprzyjał wiedzy i myślicielom niemieckim niż francuskim, jego małe, świecące, czarne oczy były niemal — jakobińskie. Wyrażały gniew, zapał, złośliwość i samowiedzę. Kiedyś później, poznawszy go lepiej, dostrzegłam w tych oczach płochliwą ciekawość myszy. A raz, czy dwa razy — łzy.

Raz — na melodramatycznej sztuce o Jakubowskim, chłopie polskim zamęczonym przez Niemców — siedząc obok mnie w teatrze Ateneum, Irzykowski nieznacznie strząsnął łzy z powiek i widząc, że i ja ocieram oczy, szepnął: — „Ludzie, którzy wzruszają się melodramatem, mają oschłe serca". — Innym razem wzruszył się Irzykowski do łez w sprawie bardziej skomplikowanej, bo w sprawie Brzozowskiego. Podjęto ją bowiem na nowo i na nowo zawieszono. Irzykowski w gwałtowny sposób domagał się jej ścisłego rozpatrzenia i rehabilitacji. I nagle wybuchło z Irzykowskiego tak bezgraniczne uwielbienie dla wartości pisarskich, dla wielkości myśli Brzozowskiego, że głos mu się załamał, zadławił szlochem. Nie był to już melodramat, tylko najtrudniejsze przezwyciężenie — pokonanie urazu. Albo — jeszcze mocniejsze utrwalenie go w sobie poprzez szlachetność. Albo jeszcze inaczej: tryumfowanie nad samym krzywdzicielem przez wolę wzięcia go w obronę i walki o jego cześć.

Wszystkie wiązania kontrastów były przecież Irzykowskiemu właściwe. Z takiej konstrukcji psychicznej mogła się zatem jeszcze w Krakowie zrodzić „Pałuba", którą wszedł w rozgłos i w zacięty bój pisarski. Jeżeli nawet napisanie tej powieści było wynikiem a priori postawionych sobie zamierzeń rozgromienia pewnej schematyki powieściowej, to jednak nie sama tylko teza psychologiczno-eksperymentalna była podnietą autora. To on sam w sobie był rozszczepiony w takiej mierze, że mógł przeprowadzać jednocześnie autoobserwacje. Nie było to, mimo wszystko, łatwe i stąd jego walka o uznanie dla wysiłku, stąd gniew, że nie nadążano jego osiągnięciom. — „Czczę myśli moje — pisał — i staram się na serio o wpojenie ich mojemu czytelnikowi, więc łopatą wkładam mu je do głowy, nudzę go, a to co ważniejsze dziesięć razy podkreślam" —. A w innym miejscu (przedmowa do „Pałuby" r. 1903): — „Dlatego wara mi od „Pałuby"! nie mierzyć jej na łokcie!".

Powieść ta, która wniosła do naszego słownictwa określenie „pałubizm", nie stała się nigdy poszukiwanym objektem czytelniczym. Nawet i wtedy nie, gdy sława Joyce'a i Prousta przyzwyczaiła wybredniejszych do czytania „pałubiczynych" książek. Nikt więc nie pomyślał w Polsce o powtórnym wydaniu „Pałuby", zapomniano już zupełnie prekursorki sławnych powieści pisarzy Zachodu. Raz jeszcze potwierdziło się: „cudze chwalicie, swego nie znacie". Irzykowski zresztą, jako beletrysta, pisarz sceniczny i... poeta, nie chwycił gruntu.

Było to niewątpliwie głęboko odczute przez pisarza, który w swoim ekshibicjonizmie przyznawał się do tego, mówiąc, że — „krytyk jest zazwyczaj zbankrutowanym poetą, powieściopisarzem, czy dramaturgiem. Dlatego zresztą został krytykiem, żeby za własne niepowodzenia mścić się na szczęśliwszych". — Mówiąc tak, uśmiechał się na poły żałośnie, na poły złośliwie, aby jeszcze i tego dowiedział się pisarz: — „Krytyk to Bóg pisarzy. Modlą się do niego o łaskę uznania, a krytyk, jak Bóg, wymierza ją skąpo, czasem gromi i niweczy. Czasem właśnie najcięższi dotyka tych, których kocha."

Przez długie lata, nie mogąc uczywiście wyżyć z pisarstwa, był Irzykowski kierownikiem biura stenografów w Sejmie. Nie wiele mówił o tym swoim zajęciu, choć w jednym ze swoich zbiorów umieścił dowcipną serię nonsensów czyli tzw. przegadań się posłów i ministrów. Oprowadzał mnie raz po gmachu sejmowym. Były właśnie jakieś ferie poselskie. Opalowe światło wypełniało salę posiedzeń i czasu młodości Irzykowskiego — felieton. Wszystko było tu czyste i senne. Prawica i lewica i centrum — były to tylko ławki i miejsca. Irzykowski ukazał mi się tam inny, urzędniczy, bardzo serio traktujący właśnie te ławki i miejsca. Zaprowadził mnie na podium i uroczyście kazał mi usiąść w fotelu, w którym zasiadał parokrotnie Marszałek Piłsudski. Nigdy już potem nie powtórzył mi się Irzykowski w tym wzruszonym patosie, w tym jednocześnie prostym odczuciu Wielkości i Państwa.

W swojej kipiącej duszy, którą wyrzucał z siebie w zajadłych słowach, w strzępach porwanych zdań, miał bowiem Irzykowski dużo pogardliwości dla ludzi piszących. Zwłaszcza zaś dla tych, którzy wbrew niemu, czy też obok niego zdobyli sobie uznanie. Otaczał się natomiast młodymi, którzy mniej lub więcej zasługiwali na opiekę. Tych „lansował", tych próbował urabiać, prowadząc z nimi dyskusje, nakłaniając do kształcenia się. Przez długi okres Irzykowski-socjalista otaczał się młodzieżą lewicową. Ci młodzi pisarze „proletariaccy", rozpędzając się nieraz w kierunku komunizmu, mieli w nim patrona nie z powodu swoich przekonań, ale dla swojej młodej nieudolności pisarskiej. Lubił właśnie te próby, poszukiwania, te niedopierzenie. Lubił to zuchwalstwo nieumiejętności. Może czynił to z przekory, a może widział w tym pisarstwie zaczątek jakiejś odmiany, pociągającą jeszcze świeżość, zanim się stanie dostojną doskonałością.

Nie pamiętam kiedy się to stało, że lewicowi pisarze opuścili Irzykowskiego, czy też on sam puścił ich od siebie. Młodzi „uczniowie", którzy teraz otaczali Irzykowskiego, byli spod znaku ONR. Tak samo agresywni i nieumiejętni, tak samo eksperymentujący, choć pod innym sztandarem politycznym, mieli w Irzykowskim swojego doradcę i nauczyciela. Już posiwiały, już Akademik — nie on jednak prowadził teraz, ale sam ulegał. Zaczął politycznie myśleć jak oni, porwany ich niecierpliwością, żądny odmłodzenia się.

Z latami bowiem narastał w nim inny uraz: starości. Pamiętam go do głębi przeciętego jakimś felietonem Marii Jehanne Wielopolskiej, która była młodą, za czasu młodości Irzykowskiego — felietonem o starości dramatycznej w swojej rozgnacii, w swojej spłowiałości i odtrącaniu. Był właśnie u nas w domu na kolacji i długo rozwodził się na temat tej krzywdy niezawinionej, tak naturalnej i tak zazwyczaj przedwcześnie dotykającej. — „Likwidują człowieka — żalił się — posyłają na emeryturę bez wysługi lat. Zagranica inaczej — tam starzy rządzą, tworzą, tam nawet skleroticy mają swoich adherentów. U nas nikt nie dopuści tego, co mu dane. To dowód niewyniosłości naszej. Kto chce jeszcze jakiś się utrzymać na widoku, musi iść pod komendę smarkaczy."

W tym czasie znałam go już bliżej, znałam jego dom. Mieścił się na Kolonii Staszica i był jednym z tamtejszych dworków z ogródkiem. Tam czuł się pan Karol nieomal tak, jak w Brzeżanach, które uważał za jedno z najpiękniejszych miast polskich. Dla jego to dumnego samopoczucia pisał chyba Słowacki „Jana Bielskiego", bo Irzykowski nie omieszkał nigdy zacytować: „Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy...". W domu Irzykowskiego był jednak w istocie jak w małomiejskim mieszkaniu, nie tyle skromnym, co ubogim i trochę zaniedbanym. Córki chodziły do szkoły, żona, ciężko chora, nie opuszczała swojego pokoju na piętrku. Na dole pracownia pana Karola: duży, ciemny stół z jakiegoś pospolitego drzewa — sosna albo olcha — i książki. Tych dużo, bardzo dużo w szafach, na półkach, na krzesłach, na stole. Te na stole, to były „nowości". Uśmiechnął się złośliwie: — „Z dedykacjami. A ja nie mam czasu czytać. Za długie piszecie powieści. Dąbrowska ileś tam tomów, pani także sobie nie żałowała. Wam się zdaje, że ja, bo krytyk, muszę to czytać i pisać o tym. Niech to robi Piwiński, Breiter, Pomirowski. Ja czytam teraz to, z czego mogę się czegoś nauczyć. Boya czytam!" — parsknął i czarnymi oczkami myszki popatrzył na mnie, czy biorę to na serio, czy też rozumiem, jak bardzo lekceważy sobie tego Boya.

Nie, nie lekceważył go, ale po prostu nie znosił. Nie cierpiał. Ktoś powiedział o tym stosunku Irzykowskiego do Boya, że „Irzykowski chciałby przynajmniej pięć minut przed śmiercią być Boyem". Była to złośliwość prawie uzasadniona. Irzykowski nie mógł pojąć przyczyny popularności Boya, którego uważał za sprytciarza spłycającego wszystko, czego się tknie. Ale jego łatwość pisania, gładkość stylu, dowcip — były dla Irzykowskiego czynnę godzyny zazdrości. Nie chciał się z tym pogodzić, że tzw. szerokie sfery czytelnicze nie rzucają się z taką łapczywością na „Walkę o treść", z jaką rozchwytywano „Królową Marysińkę" na przykład. Toteż dla zjednania czytelników bodai zapewiadającym tytułem, nazwał zbiór swoich rozważań krytycznych — „Słoń wśród porcelany". Bardzo był z tego tytułu zadowolony: — „To wędką — cieszył się — i prawda jednocześnie. Jestem jak słoń, ciężko stąpam, a jak wpadam w gniew, robię się niebezpieczny".

Dużo miał tych powiedzeń o sobie, charakteryzujących jego stosunek do ludzi i do zawodu pisarskiego, który dźwigał jak kłątwę, a którym, mimo to, pyszniło się, wynosił ponad tłum. Kiedy w długich sporach rozstrząsano sprawę utworzenia Akademii Literatury, Irzykowski zwalczał projekt (Juliusza Kadena Bandrowskiego), przeciwstawiając swój i kilku kolegów. Zamiast Akademii miałaby to być Izba Literacka, bardziej postępowa czy też demokratyczniej pomyślana. Zacietrzewiając się w tych sporach, nieraz nagrubianii zwolennikom Akademii. Wreszcie uchwalono właśnie Akademię i Irzykowski został do niej zaraz powołany. Przyjął to z takim zadowoleniem, że nie tyle zadziwił świat literacki, co ubawił. Niby podrwiwając, mówił o sobie: — „Nieśmiertelny", a gdy raz przyszedł do niego agent towarzystwa ubezpieczającego na życie, odpowiedział pół-żartem, pół-serio: — „Nie mam potrzeby ubezpieczać się na życie, ponieważ jestem jako Akademik nieśmiertelny".

W tej Akademii nie był oczywiście trusią. Trzymał się z Miriamem-Przesmyckim i Leśmianem przeciw Kadenowi i jego grupie, do której dość potulnie należał Prezes Akademii Skroszewski. Bóg jeden wie, o co im tam wszystkim szło, bo, że nie o spory literackie — to pewne. Ale Leśmian, zatroskany i obcy temu światu, także te sprawy brał do serca i często szlachem zawierzał mi te konflikty, lecz tak zawile, że nie wiele z nich można było zrozumieć. Dziś, rekonstruując w pamięci te „akademickie" niepokoje, domyślam się, że były to personalia, medale, zielone wstążeczki i inne głupstwa, w które dziecinnie wdawali się ci poważni i już nie młodzi ludzie.

Była w panu Karolu jeszcze jedna cecha: praktyczności. Ujawniała się naiwnie, w zasięgu skromnych potrzeb i troski o dzieci. Chciał jakoś urządzić się, córki, które bardzo kochał, kształcić, wydać dobrze zamąż. Chciał je zabierać z sobą na rauty, bale, przyjęcia i widzieć ładnie ubrane. W tych sprawach nie uznawał żadnego nowatorstwa: ma być tak, jak za prababek w pięknym mieście Brzeżany bywało. A tu mu znowu Boy psuł młodzież, propagując coś takiego, jak „małżeństwa koleżeńskie", jak „świadome macierzyństwo". Mało kto wie, że Irzykowski przez wiele lat przed wybuchem wojny spełożnał, jeździł do Lasek do księdza Kornitowicza i tam odbywał w klasztorze rekolekcje.

Przechodził „fazy" w swoim życiu, ciągle w poszukiwaniu czegoś, co by było prawdą, uspokojeniem, bezpiecznym portem. Może już nawet był na tropie znalezienia tego, co dawało wreszcie skupiony całokształt życia duchowego, co uśmierzało urazy i gniewy. Bywał więc niekiedy łagodny i miły, wyzbyty kaprysów, przekory i rozdrażnień. Kiedyś zadzwonił do mnie, aby zapytać, jak u mnie jest za oknem, bo okna moje wychodziły na Wisłę z widokiem na dachy Starego Miasta i z mglistym zakolem aż po Jabłonnę. Tak właśnie poetycznie pytał o ten pejzaż za oknem, aby mnie zaprosić do siebie, bo u niego w ogródku przekwitają już dalie i trzeba, żebym je sobie wzięła. Gościnny — cieszył się odwiedzinami i cieszył się także dowodzinami córkami, bukietem kwiatów, podwieczorkiem podanym byle-jak na tacy, jesienią, która szeleściła pod schyłek dnia jakimś drzewem. Pojęłam wtedy, jak bardzo kocha życie i jak mało mu potrzeba, żeby być szczęśliwym. Nie chciał wtedy mówić o pisarstwie, o tym swoim wielkim i ciągłym gniewie, o niedosycie twórczości i sławy.

Opowiadano mi o Karolu Irzykowskim jakim był tam, w Warszawie pod niemiecką okupacją. Dom jego spalił się jeszcze we wrześniu 1939 r. Wszystko — książki, także. Żona umarła, córki podobno pracowały tak, jak tyle innych kobiet na rzecz tego, co było najważniejsze. On sam wygłaszał odczyty na tajnych zebraniach literackich, odbywających się w rozmaitych zakonspirowanych miejscach. Często w mieszkaniu po zmarłej wielkiej artyście dramatycznej Stanisławie Wysockiej. Opowiadał mi ten, który słyszał Irzykowskiego mówiącego. Gdzieś znikł raptem zacinanie się — mówił człowiek, który wszedł w „fazę" walki ze złem. Mądrzeiszy od dziejącej się przemocy, wytrwałszy od niej, świadomy tego, co pozbierał w życiu z ducha, barw, dźwięków i słów rodzimych, mówił podniośle o najwyższych wartościach — o wolności, za którą nie żal umrzeć. Gdzieś okolną drogą — ongiś „klerk" bendowski, bergsonista, a jeszcze przed tym heglista — uchwycił grunt pod nogami, wierzac, że tak już mu trzeba stać mocno i wznosić się, w wewnętrznym wyzwolonym uniesieniu, stać do końca.

W którąś z podwarszawskich miejscowości (może właśnie w Laskach, a raczej na gruzach Lasek) zmarł nie dawno, bo w r. 1945. Co myślał, co czuł, widząc już nie tylko zło, ale podłość, zaprzaństwo, małoduszność? Może, zanim umarł, tłumaczył, jak kiedyś dawniej i dziś tak samo młodym, idącym bezmyślnie i naoślep: — „Pisarz socjalistyczny powinien swój socjalizm udowadniać obszerni świata horyzontu, trafnością swych diagnoz, prawdą i wyobraźnią we wszystkich dziedzinach, intensywnością uczucia"... Albo: — „Indywidualizm nie wyklucza socjalizmu, owszem, nadaje mu sens"... I wreszcie to: — „Literatura socjalistyczna nie musi być głosicielką uczuć stadnych"... (cyt. ze „Słonia wśród porcelany").

Mówiąc tak, czuł chyba, że przekroczył próg nieszczęścia i że jego nauka narazie — poszła w las... W las pełny młodych, którzy może nie nie wiedząc o Irzykowskim, toczą śmiertelną „walkę o treść".

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

DO ŻYDÓW

Wybrany po raz niewiadomo który
Śród człowieczego potomstwa tej ziemi
Na wyniszczenie, na śmierć i tortury,
Tym razem nawet chirurgii i chemii

Zamknięty w ghettach i stadem stłoczonem
Do bram biegnący, by z nędzy i gruzów
Wieźli cię potem wapiennym wagonem
Ludzcy rzeźnicy do ludzkich szlachtuzów

Byś nosząc gwiazdę Dawida dla śmiechu,
Że ongi silnych obalił był z procy,
Do ostatniego wciąż liczył oddechu
Na jakąś pomoc lub złudę pomocy —

Byś znakowany numerem na plecach
Odwszony z brudnych baraków i kojców,
Stosami kości nawarstwiał się w piecach,
Syn takich samych, jak wszyscy my, ojców —

Byś nie pojąwszy nic z losu własnego,
Od pierwszej chłosty po życia ostatek
Pytał się nieba i ziemi: dlaczego?,
Syn takich samych, jak wszyscy my, matek —

Tak w swej niedoli cierpiący, jeżeli
Szukasz gdzie bliźnich, spójrz między upiory
Tych, co do końca wraz z tobą cierpieli,
Bracie z tej samej gazowej komory.

Tak w swej niedoli samotny, gdy pytasz
Czy nikt nie pojmie twych nieszczęść ogromu,
Spójrz kogo wlekli przez głuchy kurytarz
Tej samej nocy, tuż przy twoim domu.

Tak w swej niedoli przez możnych zdradzony,
Co świat sprzedali za kule i ołów,
Spójrz jak ginęli nam bracia i żony,
Wszyscy zmieszani dziś w garści popiołów.

Tak pognębiony siłami ciemnemi,
Błądząc śród grobów i zmory bezsennej,
Spójrz jaką hańbę siał wróg w naszej ziemi,
Gdy w niej dolinę otwierał Gehenny.

Tak doświadczony, gdyś powstał w Warszawie,
By choćby ginąć, lecz wolnym nareszcie,
Spójrz co zostało po krwi i po sławie
Z naszej świątyni powstańcom w tem mieście.

Ach, tak ze wszystkich narodów wybrany,
Spójrz jak jest wspólna Jeruzalem nasza,
Ty, coś od płaczu kamieniał u ściany
I coś nie przestał wciąż czekać Mesjasza.

GUSTAW HERLING - GRUDZIŃSKI

Bilans poetycki Korpusu

Trzecia z kolei antologia Bielatowicza *) zamyka okres szkolenia się poetyckiego żołnierzy, którzy bądź to z Brygady Karpackiej, bądź z obozów i więzień sowieckich weszli w skład 2. Korpusu i brali udział w największej z dotychczasowych bitew: pod Monte Cassino. Romantyzm walk w Afryce połączył się tedy z surowym realizmem wspomnień rosyjskich, zabarwił się niesłychanie wbrew pozorom (będę uważał zawsze „Azję i Afrykę" za najciekawszy tom trylogii antologicznej Bielatowicza) „kolorową nudą" marszu przez kontynenty i stanął do ostatecznej próby poetyckiego u c z e s t n i c t w a.

Jeśli się czasem mówi o szkołach poetyckich, o prawdziwych uczelniach, w których można się nauczyć rzemiosła poetyckiego na wzór francuskiej Akademii Pawła Valery'ego lub rosyjskiego Instytutu Walerego Briusowa, to nie wolno zapominać, że wojna mogła była się stać dla wielu poetów ogromnym i bogatym doświadczeniem tak skondensowanym w czasie, że życia niekiedy całego nie starczy, aby mu dorównać w sile i napięciu. Poezja nie jest tylko sztuką pięknosłowia i kunsztu zdobniczego. Jest ona również nieustanną próbą rozwinięcia swej osobowości na przekór więzom społecznym i narodowym, tak, aby indywidualność artysty nie była równoznaczna z samotnością człowieka. Wojna zmusiła nawet najoporniejszych do wykreślenia granicy pomiędzy własnym charakterem a grą przypadków, pomiędzy odwagą, pochodzącą ze świadomego wyboru, a odwagą ograniczoną przez nadmierne możliwości wyboru. W wojnie nie ma bezinteresownych widzów, rezerwujących samych siebie na wygodny moment w biegu wypadków. Są tylko ludzie, którzy w niej uczestniczą i ludzie, którzy ed niej uciekną. Prawdę tą dostrzec muszą nawet najzagorzalsi pacyfiści, jeśli — rzecz prosta — nie ukrywają za parawanem deklamacji własnego tchórzostwa i małoduszności.

Poeci 2. Korpusu mieli okazję w latach, poprzedzających bitwę pod Monte Cassino, przemierzyć ogromny szmat świata i zajrzeć w sprawy ludzkie w sposób bardzo swobodny i niesłychanie, z drugiej strony, przymusowy. Romantyczne włóczęgostwo, egzotyczne wojaże ustępowały coraz to miejsca rzeczom widzianym przez przymat najboleśniejszych wspomnień. W pierwszej połowie 1942 roku spotkali się w Palestynie ludzie, czujący w piersiach wiew szerokiej, niemal że przestrzennej swobody i znający już smak wielkiej, historycznej przygody z ludźmi, którzy swym zdławionym życiem dotknęli dna najsurowszej niewoli. „Azja i Afryka" Bielatowicza była ciekawa próba porównania i pogodzenia tych strumieni. Odnajdywaliśmy na jej kartach dwa jak gdyby równoległe, choć w przeciwnych kierunkach działające, procesy: stopniowego pogłębiania się jednych i powolnego, ale bardzo uporczywego odginania się drugich. Ten tom trylogii Bielatowicza pozostanie zawsze bezcennym dokumentem dla umiejących czytać w zawiłych księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego. Nie wiersze, nie profile poszczególnych poetów były w nim istotne, ale całość zjawiska, które swymi rozmiarami i natężeniem przewyższało błyskawicowy skrót września.

Po poetyckim poligonie przyszedł czas na poetycką bitwę. Poezja Korpusu zaczęła dojrzewać w kręgu walki i wspólnego wysiłku. Mieliśmy więc prawo oczekiwać, że z miazgi narodowej tragedii wyłonią się charaktery poetyckie, samodzielnie reagujące na otaczający świat, mijające zdecydowanie w swym rozwoju okres zabkowania „uczuć powszechnych". Pod tym względem nowe opracowanie Bielatowicza sprawia pewne rozczarowanie. „Antologia walki" jest książką, w której nie ma walczących indywidualności. Z pośród jedenastu zebranych poetów (wyłączam Obertyńską, która jest w tej grupie gościem) ani jeden nie przeżywa walki inaczej niż w ramach literackich schematów. Ten właśnie moment skłania recenzenta do traktowania książki Bielatowicza, jako paru poszczególnych tomików poezji, które należy omówić osobno i to w sposób tym bardziej subiektywny, im bardziej obiektywna i historyczna jest „Antologia walki".

Jednym z najdojrzalszych poetów Korpusu jest B o l e s ł a w K o b r z y ń s k i. W ciągłej pogoni za najwłaściwszą dla siebie formą wyrazu próbuje Kobrzyński wyjść poza wojnę i po omacku szuka jej metafizycznego sensu. Jego ambicja jest dopędzić i otoczyć metaforą myśl — refleksję. W tym też tkwi główny błąd autora „Przewodnika serdecznego". Metafora nie może bowiem dążyć do niczego innego poza pełnym rozwinięciem samej siebie. Rozkwita ona w refleksję filozoficzną nieomalże organicznie, z siebie. Dlatego Kobrzyński balansuje wciąż pomiędzy trafnymi często skrótami poetyckimi i zupełnie nietłumaczącymi się sentencjami. Problem jego poezji jest więc problemem obowiązku skromności i właściwej miary wobec własnych możliwości poetyckich. Kobrzyński musi zrezygnować ze sztucznej refleksyjności na rzecz wydobycia i pogłębienia treści, zawartej już potencjalnie w każdej jego metaforze. Najlepszy z dokonanego przez Bielatowicza wyboru „Nokturn" wskazuje, że Kobrzyński będzie bardzo interesującym poetą, jeśli pogodzi się z faktem, że jest t y l k o poetą.

A r t u r M i ę d z y r z o c k i uchwycił niejako sam szkielet liryki Broniewskiego. Broniewski jednak urwane słowa i zdania wiąże w jeden nurt jakąś podskórną dynamiką, gwałtownością przeżycia, wrażliwą dumą osobistą, przekorą i niesfornością postawy, młodzieńczą wiarą, uśmiechem i okrzykiem bojowym pomieszanymi z głęboką wewnętrzną bezradnością, przedziwnym stopem zapalczywości i lirycznej tkliwości. Poezja Broniewskiego jest więc poezją jakiejś bardzo sugestywnej postawy wewnętrznej, skazanej jednocześnie na spontaniczne wzloty i najtragiczniejsze załamania. Broniewski przeżywa fizycznie wszystko: i tęsknotę i żal i zwycięstwo i samotność. Dlatego wyobrażam sobie, że, pisząc wiersze, nie dobiera słów, ale reaguje na swój stan wewnętrzny strofami, tak, jak my reagujemy gestami i zachowaniem się. Słowo nie wyzwala stłumionych w nim uczuć, ale jest dojrzałym ich owocem. Łośnie w nim bowiem równolegle do rozwoju uczuć, wraz z nimi, i zrzuca poczwarczą skorupę w momencie najwyższego samouświadomienia sobie stanu psychicznego, którego ma być odpowiednikiem. Ale dlatego, właśnie dlatego wiersze Broniewskiego rodzą się z piętnem śmierci w czas narodzin, są zbyt pełne, aby mogły żyć zbyt długo. Żyją krótko, bardzo intonsywnie i jak gdyby wiedzą, że same wybrały świadomie to życie pełnią kosztem krótkotrwałości. Nic ma bowiem nic, co by można było — jak to bywa w trwałym obcowaniu z prawdziwą poezją — dośpiewać, dobudować do nich od siebie. Można je wziąć w siebie, oddychać nimi przez pewien czas i wyrzucić tak, jak rosiczka wyrzuca wyssaną muszkę, rozchylając się po zmysłowym śnie na nowo ku słońcu. W Broniewskim jest ta roślinna fizyczność i czasem wydaje mi się, że on sam, nadając ostateczny kształt swoim wierszom, rzuca je niejako za siebie. Gdyż kochał je tworząc i nie zostaje w nim tyle namiętności ile trzeba, ażeby przeżyć po ludzku, z siłą i conradowską świadomością największą próbę każdej twórczości, jaką jest spełnienie.

Otóż Międzyrzecki nie posiada tej postawy, ale odczuwa wyraźnie jej urok. Wie, że rozwiązałaby ona, a raczej uporządkowała i ustawiła jego szczenięco-ślepą bezradność i gorycz. Nie rozumie jednak, że u Broniewskiego jest to postawa bardzo męska, niepozbawiona ryzyka i wymagająca eksponowania całego siebie w każdym momencie rozwoju duchowego. Dałoby się powiedzieć, że Międzyrzecki wzrusza się w wierszach po raz wtóry swoimi dawnymi wzruszeniami z lektury Broniewskiego i dlatego nie może wyjść poza literackość swej wizji. Międzyrzecki robi z poezji przeżycie, podczas gdy jego mistrz zawsze robił z przeżyć poezję. Wypada jednak zaznaczyć, że nowy, niedrukowany jeszcze nigdzie poza Antologią i bardzo ładny „Chamand" nie pozwala w tej chwili powiedzieć o autorze „Namiotu z Kanady" ostatniego słowa.

Do tego co napisałem kiedyś w „Orle Białym" o J a n i e O l e c h o w s k i m należałoby wprowadzić zasadniczą korektywę. W czasie dzielącym nas od wydania tomu Olechowski napisał cały szereg wierszy, wśród nich jeden prawdziwie ładny: „Człowiek i Ziemia". W pozostałych widać gwałtowne krzepnięcie pewnej maniery poetyckiej, polegającej na ulirycznieniu sztywnego a niekiedy nawet i oschłego klasycyzmu strofy. Ostatnie wiersze Olechowskiego powstają według pewnej sztancy, którą wyobrażam sobie w następujący sposób: miewa on często drobne, liryczne wzruszenia, niekiedy ładne i dość plastyczne („Roztańczonych jaskółek gibka karuzela"), ale nie wiadomo dlaczego sądzi, że to nie wystarcza, aby napisać dobry wiersz. Dobudowuje więc do nich jakieś pozornie głębokie ramy refleksyjne, usztywnia strofy, przepaja całość tonem deklamacyjnego rozmodlenia. W paru ostatnich wierszach Olechowskiego zrobiłem eksperyment czytania ich od końca i nie znalazłem zasadniczej różnicy. Ten drobny żart krytyczny wskazywałby na to, że u Olechowskiego trudno ostatnio mówić o samodzielnych wierszach, można natomiast o mniej lub więcej samodzielnych strofach. Olechowski zbliżył się po wydaniu tomu do liryki Kasprowicza. Połączyć, powiedzmy, Zawistowską z Kasprowiczem, czyli to, co jest Olechowskiemu bliskie naprawdę, z tym, co wydaje mu się ratunkiem dla jego „liryki bezradnej", pomniejszyć w odpowiedniej skali — i oto będziemy mieli zjawisko poetyckie, które raczej niepokoi niż przekonywuje swoją prawdą wewnętrzną. Poezja Olechowskiego to kapliczka, do której Bóg przychodzi tylko na specjalne zaproszenie. Wydaje mi się czasem, że Olechowski napisał kiedyś parę niezłych wierszy, które teraz sam imituje. Jest to równie złudne, jak wiara, że można powtórzyć prawdziwie szczerą i żarliwą modlitwę, wypowiadając nieskończoną ilość razy same jej s ł o w a.

Ciągle niewyjaśnionym dla mnie zjawiskiem poetyckim jest T a d e u s z S o w i c k i. Był czas, że uważałem go tylko za bardzo inteligentnego i wrażliwego czytelnika Gałczyńskiego. Okazało się jednak, że skala jego możliwości jest szersza (choć nie głębsza) i po „Zwrotniku wilkołaka" czytaliśmy parę wierszy, które prawie że trudno było przypisać temu samemu poecie. Bardzo popularny u nas wiersz bez tytułu („Nim rzucicie swój świetny reportaż na prasę...") i równie łatwy „Italia Madre" ukazują Sowickiego, który nie najszczęśliwiej przeszedł od malarstwa poetyckiego do poetyckiej grafiki użytkowej. Ale już parę drobiazgów, napisanych na Atlantyku i objętych ogólnym tytułem „Dziennik Pokładowy" wskazuje na powrót Sowickiego do delikatnego, syntetycznego rysunku (ciągle nie wizji, którą autor „Zwrotnika" zna tylko z zabawnych skojarzeń, rodzących się na marginesie lektury Gałczyńskiego), gdzie kreskę zastępuje niekiedy skrót prawie aforystyczny, a rzadko poetycki. Sowicki jest coraz oszczędniejszy w wyrazie i dojdzie prawdopodobnie kiedyś do konieczności uzupełniania rysunku paroma strofami, lub naodwrót niedokończonego wiersza kilkoma pociągnięciami piórka. Wyobrażam sobie, że istnieją malarze, którzy swoje widzenie świata tylko w części potrafią ująć w kompozycję plastyczną, a resztę już muszą opowiedzieć. Twórczość Sowickiego będzie w najlepszym razie poetyzowaniem projektów i pomysłów malarskich.

Niesłusznie przemilcza się lub pomija, mówiąc o czołowej stawce poetów Korpusu, J ó z e f a Z y w i n ę. Jest to poeta skromny i bardzo niewyszukany, ale i szczerość i prawda jego przeżyć są dla mnie tak ujmujące, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy to nie on właśnie mógłby się stać poetą walk i wędrówek Korpusu w takim sensie, jakiego szuka w swej antologii Bielatowicz.

We wszystkich tych charakterystykach zawiera się implicite zasadniczy zarzut pod adresem starannie zresztą i z prawdziwym zamiłowaniem opracowanej Antologii Bielatowicza. Pasja bibliograficzna, ujawniona zarówno w przynoszącym niesłychanie drobiazgowy i dokładny wykaz pozycji poetyckich na emigracji wstępie, jak i w doborze i układzie wierszy włączonych do Antologii, nie odpowiada już temu stadium rozwoju, w jakio weszła poezja Korpusu. Bielatowicz postąpiłby słuszniej, gdyby swą książkę skrócił conajmniej o połowę i spróbował się raczej zastanowić, które z tych wierszy zdołają się oprzeć niszczącemu działaniu czasu. Słowem — gdyby ją opracował nie tylko z mandatu czytelnika, ale i z mandatu poety. Gdyż coraz trudniej już dziś mówić o p o e z j i Korpusu, a coraz zdecydowaniej trzeba mówić (choćby nawet przyszłość miała nie potwierdzić diagnoz krytyka) o p o e t a c h Korpusu. W rozwoju takiego zjawiska, jakim jest twórczość pewnej określonej społeczności ludzkiej zawsze za wcześnie jest na galwanizacje historyczną, a zawsze jednocześnie za późno może być na działalność praktyczną krytyka i organizatora literatury.

*) Nasze granice w Monte Cassino. Antologia walki. Opracował Jan Bielatowicz. Rysunki artystów żołnierzy 2. Korpusu. Biblioteka „Orła Białego". Rzym, 1945.

K. I GAŁCZYŃSKI

PIEŚŃ O FLADZE

Jedna była... gdzie? Pod Tobrukiem,
druga była... hej! pod Narvikiem,
trzecia była pod Monte Cassino,

a każda jak zorza szalona
biało-czerwona, biało-czerwona!

czerwona jak puhar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się nocą flagi,
flaga fladze dodaje odwagi;
— No, noo, nie bądź taka zmartwiona:

Nie pomogą i moce piekła,
jam ciebie, tyś mnie urzekła,

nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę

i nigdy nie będziesz biała
i nigdy nie będziesz czerwona,

zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,

czerwona jak puhar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,

zrobił dziurę w czerwieni i w bieli,
lecz wołały flagi: — Nie płaczcie,

choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli!

zostaniemy biało-czerwone
flagi święte, flagi szalone!

Spod Tobruku i spod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,

zostaniemy biało-czerwone,
nie spoczniemy biało-czerwone,

czerwone jak puhar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.

O północy, przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr,

były szarły, ordery, muzyka
i stukał tajny szyfr.

Diabły w swojem sercu głupiem, bo niedobrem
rozwiązywały biało-czerwony problem.

Łkała flaga: — Czyżem powinna
zginąć, bo — jestem inna?

że nie taka... dyplomatyczna,
że — tragiczna, że — nostalgiczna,

ta od mgieł i od tkliwej rozpaczy
i od serca, które nic nie znaczy,

flaga jak ballada szopenowska,
co ją tkała sama Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko, — — — —

hej! wysoko! ku samym obłokom!
jeszcze wyżej! gdzie się wszystko zapomina,

jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa!

Warszawa jak piosnka natchniona,
Warszawa biało-czerwona,

czerwona jak puhar wina,
biała jak śnieżna lawina,

biało-czerwona,
biało-czerwona,
olej! biało-czerwona.

I.X.44.

OFIARY

T. Kasziel na Fundusz Społeczny 100 l.

Niebawem ukaże się w bibliotece „Orła Białego" powieść Wiesława Wohnouta (St. Włodarza) p. t. „NOC". Akcja powieści rozgrywa się w czasie okupacji niemieckiej w Warszawie.

Poniżej zamieszczamy jeden z rozdziałów tej powieści.

WIESŁAW WOHNOUT

„Pod gąską"

(Fragment powieści)

Mecenas przyszedł „pod Gąskę" wyświeżony, z uderzającą punktualnością. Dla tego człowieka nie istniały przeszkody. Mogły nagle na mieście stanąć wszystkie tramwaje, mogła łapanka dziesiątkować właśnie Warszawę, mógł trwać alarm — mecenas na umówioną godzinę przychodził bez minuty opóźnienia.

Był to fanatyk tak zwanej słowności.

Gdy pożyczał tysiąc złotych, ustalał nie tylko ogólnikowy termin zwrotu: wtorek, środa, piątek. Nie. Mecenas mówił: w środę o dwunastej w południe...

Irytowało to Nikodema. (Dziwna rzecz, że niektóre cnoty, które adorujemy i których domagamy się i u siebie i u bliźnich, stają się obmierzłe, jeżeli je wprowadzić w życie a la lettre... Widocznie pożądamy jedynie pewnych stanów przybliżonych; procent dopuszczalnego odchylenia musi nam podyktować intuicja. Gdybyśmy bowiem stworzyli co do tego jakąś normę, proces obmierzania rozpoczęłby się na nowo. Mecenas widocznie nie zdaje sobie z tego sprawy).

Jak zawsze trochę ceremonialny i ironiczny, prawił okrągłe komplementy, ale zastąpił panią Barbarę w wypiciu następnego kieliszka. Za to była mu wdzięczna.

Potem zaraz usiedli.

Gospodarz nastawił po raz trzeci tego ranka tęskne tango.

Pani Barbara, korzystając z chwilki czasu, pochyliła się ponownie nad lusterkiem. Czy to była nieuwaga, czy świeżo wypita wódka, ale z torebki wypadł znowu zmięty arkusik listu. Zajęta kredką w ogóle tego nie zauważyła.

Pochylony nad stolikiem, powiedziećby nawet można, przechylony przez stolik, Nikodem mówi:

— Łazisz cały dzień po mieście, znasz tysiące ludzi. Włóczysz się po organizacjach, na międzypartyjne konferencje... Cóż z tego? Chcesz zgodę wyrajfurzyć? Doradzasz, żeby tym ująć, a tym znowu, dodać dolarów, co? A tym w ogóle odmówić... A potem — cyk! cyknąć. I cóż masz z tego, co?

Mecenas nie odpowiadał. Wiedział bowiem nie od dzisiaj, że Nikodem nie mówi nigdy w ten sposób o tym, co go naprawdę interesuje. Polityczne wszędobylstwo mecenasa znał, ani mu go w rzeczy samej nie ganił, ani nie chwalił. W swoim przekonaniu uważał je raczej za pożyteczne. Muszą być, mówił sobie, tacy makierzy w polityce... Polityka oczywiście, jak każdy interes (miał pewną predylekcję do tego słowa) potrzebuje tego rodzaju komiwojażerów. Jak w każdym interesie, tak i w polityce, są potrzebni tacy podróżujący agenci. Zachwalą towar, powiedzą jakie są nowości w branży, rozrobią rynek... Klientów trzeba odwiedzać oni to lubią. (Miał, jak się rzekło, pewną predylekcję do takich wulgarnych paralel. Fabrykę, którą kierował, nazywał często także interesem. Mówił: „idę do interesu"... „U mnie w interesie"... Zobaczymy później, że ta maniera nie była znowu taka przypadkowa, że miała ona swoje głębokie uzasadnienie i tkwiła w czasie).

Mecenas słuchał tej gadaniny i myślał:

— o to mu wcale nie chodzi...

Od pierwszej chwili, gdy dzisiaj rano posłyszał od Romanki o zniknięciu Bratkowskiego, wiedział, że zaszedł jakiś niezbyt wyraźny wypadek. — Wypadek? — zastanowił się. — Czyżby wypadek?... — Nazwijmy to tak tymczasem.

Do fabryki nie poszedł. W nastroju nerwowego podniecenia oczekiwał w domu na telefon od Nikodema... Bo — mówił sobie — jeżeli mój mózg pracuje dobrze, to telefon powinien się odezwać...

Odezwał się. Dzwonił, jak się tego spodziewał, Nikodem. Naznaczył mu spotkanie na dwunastą.

Teraz siedzi naprzeciw i mówi — o polityce. To, oczywiście! — myśli mecenas — nie ma nic do rzeczy... i — czeka.

Wreszcie Nikodem wygadał się. (Dawno nie wypowiedział tylu słów za jednym zamachem). Teraz, opanowany astmatycznym kaszlem, wlał do gardła potężny kieliszek wódki i zmieniając nagle zarówno ton głosu, jak i temat, mówi:

— Bratkowski zginął dzisiaj w nocy.

Mecenas ani jednem mrugnięciem nie daje poznać, że na tę nowinę czeka od trzydziestu minut. Wychyla jedynie jeszcze jeden kieliszek. Nikodem nie pozostaje w tyle.

Potem mówi:

— Bratkowski już nigdy nie wróci...

Mecenas robi ledwo dostrzegalny ruch głową. Oznacza on: rozumiem... A może oznacza także: Nie musisz tego samego powtarzać po dwa razy. Masz do czynienia z inteligentnym człowiekiem.

— Tak — powiada, jak gdyby ociągając się. — Siedemdziesięciu ludzi w fabryce... To wywoła bądź co bądź sensację.

Teraz Nikodem skinął głową:

— Właśnie... Trzeba temu zapobiec...

— Jak?

— Jest sposób.

— Jaki?

Pochyla się jeszcze bardziej ku mecenasowi:

— Ty prowadzisz u nas dział personalny. Odnotujesz sobie w odpowiedniej rubryce, że od dzisiaj rana dałeś mu urlop... Nic prostszego. Wczoraj wieczorem zatelefonował do ciebie do domu, że otrzymał jakąś ważną wiadomość od swojej rodziny... gdzie umieścimy jego rodzinę? — powiedzmy w kutnowskim... i prosił cię o natychmiastowe zwolnienie na kilka dni... Ponieważ pociąg w stronę Kutna odchodzi około godziny szóstej rano, więc, za twoją zgodą, nie oczekiwał na nadejście dyżurnego palacza, sam dosypał węgla w kotłowni i przed godzinią 6 rano wyszedł z fabryki... Ponieważ palacz ma swoje klucze, wszedł i zabrał się do roboty. Wyznaczysz dzisiaj — na razie niby to zastępczo — innego dozorcę nocnego... i po krzyku...

Jak gdyby dostrzegając jakąś rysę w tym, tak precyzyjnym planie, zapytuje nagle:

— Nie byłeś dzisiaj w fabryce?

— Nie.

Oddycha głęboko. Z ulgą:

— Oczywiście, że dobrze...

Gdyby bowiem mecenas, nie znając planu Nikodema, był dzisiaj rano poszedł do fabryki, gdyby, dowiedziawszy się o nieobecności Bratkowskiego nie był odrazu powiedział, ż. udzielił mu urlopu... wówczas... — Obaj jednocześnie rozważają tę alternatywę. — Wówczas wszystko splątałoby się... Cały misterny pomysł z kutnowskim, z nagłym wyjazdem — nie dałby się już zrealizować...

— Jak to dobrze — myśli teraz mecenas — jak to dobrze, że Romanko uprzedził mnie...

Jest przejęty podziwem dla Romanki. Nie po raz pierwszy przekonuje się, ile wart jest taki przyjaciel. — Ile? — zastanawia się nad tem. — O, bardzo dużo.

Stanowili (z Nikodemem i z Romanką) zgraną trójkę. Nie, żeby we wszystkim i zawsze mieli zdanie podobne. Ludzie dziwili się nawet ich przyjaźni. W szczegółach bowiem, w obyczaju, w środowiskowych nawykach — a nawet w dotychczasowej drodze życiowej, w wykształceniu i zainteresowaniach — każdy z nich stanowił indywidualność odrębną, różną. Spotkali się w czasie wojny (jedno z tysiąca przypadkowych spotkań) — i nagle poczuli, że przylegają do siebie w sposób szczelny. Więc — niechaj się ludzie dziwią...

Wiele w tych osobliwych latach powstało takich przyjaźni.

Już trzeci rok mija, a po wzburzonych falach zburzonej Warszawy sterują łupinką swojego życia, losów fabryki i wielu jeszcze zajęć, o których tylko oni wiedzą. Sterują — jak dotąd — szczęśliwie.

(Fala idzie coraz wyższa. Nowa burza nadciąga. Zburzona Warszawa, która w swojej lekkomyślności przypuszcza, że już wszystko widziała, niebawem przekona się, że kres cierpienia jest jeszcze daleki. Że koniec — koniec jej — lekkomyślności?... jej — bohaterstwa?... będzie dopiero tam, gdzie kończy się samo istnienie.

Niebawem też — niebywale konsekwentna — przestanie poprostu istnieć).

■

„Pod Gąską" gęstnieje tłum.

Lokal ten prócz wielu innych posiada jeszcze pewną zaletę specjalną. Oto — oprócz głównego wyjścia na plac Żelaznej Bramy posiada drugie wyjście tylne. (To jest ważny szczegół. Nie należy go lekceważyć. Jeżeli nas pamięć nie myli, to również bar kawowy, w którym mecenas wysłuchał opowieści o Polityce, miał dwa wyjścia. Ludzie wielką wagę przykładali wtedy do tych rzeczy).

Ale tutaj, „Pod Gąską", nie jest to zwykłe wyjście tylne do sieni czy na podwórze. Dom, w którym się mieści ten lokal, jest częściowo zburzony. Oficyna wogóle nieistniejąca, szkarpami malowniczych ruin przylega do kamienicy spalonej. Ponadto graniczy z murem byłego ghetta. W tamtym kierunku dziesiątki hektarów kiedyś śródmiejskich stanowią dzisiaj olbrzymie cmentarzysko. Cegła, kamień, pogięte trawersy żelazne... Poza tym pustka. Jest to, dla powierzchownego obserwatora, ziemia niczyja, całkowicie bezludna.

Ale tak nie jest.

Zaledwie badawcze ekspedycje Gestapo (na długo po oficjalnym „oczyszczeniu" ghetta) wykryły i zniszczyły przy pomocy miotaczy ognia i bomb gazowych podziemne bunkry ostatnich bojowców żydowskich — już w pożydowskich katakumbach zaczęło się nowe życie. (Jedna z takich podziemnych fortec ciągnęła się, jak opowiadano w mieście, pod Nalewkami aż pod ogród Krasińskich).

Posterunkowi policji polskiej (m. Warszawy) składali gdzie należy, a także tam gdzie nie należy, odpowiednie raporty. Niektórzy przyłączali się na własną rękę do nowych podróżników wgłąb ziemi. (Jednego z nich poznaliśmy w czasie jego rozmowy z dyżurnym lekarzem. Zdawał szpitalowi, jak sobie przypominamy, „głuchoniemego"). Nieocenione usługi oddawali także strażacy z Oddziału Nalewkowskiego i ci i owi z pośród robotników Zomu oraz z obsługi sieci wodociągów i kanalizacji miejskiej.

(Już niedługo a kanały Warszawy zaroją się od ludzi-szczurów. Gdy lekkomyślne miasto — pokonane po raz drugi na przestrzeni lat pięciu w powietrzu i na ziemi, będzie umierało w płomieniach, ludzie-szczury będą walczyli nadal w kanałach).

Żeby kanał, czy to nowy burzowiec, czy stary, zwyczajny kanał ściekowy zamienić na magazyn, szpital, bądź kwaterę dowództwa placówki na to trzeba oczywiście, sporo pracy i nieco czasu. Czasu nie ma już wiele.

Nikodem przyszedłszy pierwszy raz do baru „pod Gąską", jak to powszechnie w owych latach było w zwyczaju, zanim usiadł, najpierw rozpoznał teren. Odrazu wpadło mu w oko tylne wyjście... Zawiaszy z czasem znajomość z knajpiarzem, przedstawiony przez mecenasa pani Basi, poczuł się tu niebawem jak w domu. Wychodził sobie niby na papierosa i żeby rozprostować kości do byłej oficynki, na ruiny. Gdzie okiem sięgnąć pogorzelisko, zwalone kamienie... pustka.

Podumał, pomilczał. Uśmiechnął się do pani Basi.

Teraz siedzi pochylony nad stolikiem. Kończy rozmowę z mecenasem.

Ważne rzeczy uradzili.

Rys. K. Domańska

ARTUR MIĘDZYRZECKI

PROLOG

Jak sen, który nie doszedł do krawędzi świtu
Dzień był skazany na pełne rozstań odejście.
W górskich grotach był szklisty połysk galaktytów,
Ale i tam wtargnęło wieczorne nieszczęście.

Więc żałobne koguty piały w ciężką północ,
Gdy w niebie, podpartym mrową, gasły balkony
I wysoko nad jońską skłamaną kolumnę
Zahukał głucho puhacz. Ten ptak zapóźniony.

Ugiął pod sobą konar i zastygł bez ruchu —
Właśnie wiatr roznosił strzępy rwanych wyrazów
I pośród błędnych rzeczy i spokojnych duchów
Kołysał się rytmicznie trącony abażur.

JAN OLECHOWSKI

Z WIŚLANYM NURTEM

Kiedy serce w piersi napina
Łukiem bólu gniew i tęsknota,
Kiedy żal jak drzewo przegina
Po żałobnych, jesiennych nocach —

Kiedy oczy wytężasz chciwie
Poza złudnych snów widnokręgi,
By w tej jednej ujrzeć godzinie
Brzeg daleki — brzeg niedosięgły —

Kiedy myśli wstrzymać nie umiesz
Aby we śnie nie biegła tam
Przyjacielu, zgubiony w tłumie,
Nie jesteś sam.

Wiatr szerokie zatacza koła
Poprzez wszystkie granice i czas.
Czujna noc tajemnice chowa,
Gdzie zamknięty, świętokrzyski las.

Na wiślanym czernieją brzegu
Sandomierskie wyniosłe baszty
Szczerzą próchno zębów ku niebu
Na tej ziemi mongolskie czaszki.

I narasta co dzień narasta
Rozpacz głucha i gniew nieułękły.
Błądzą cienie w rozbitych miastach
Odgrzebują kości poległych...

I choć teraz zawodzi płacz
Znad rosyjskich polarnych nocy,
W których księżyc ma trupią twarz
I śmiertelnie zapadłe oczy —

— My płyniemy z wiślanym nurtem.
Szumi pieśń i słowa porywa.
Ty z nami płyniesz — rzeko buntu!
I śpiewasz z nami — rzeko mściwa...

G. JASIŃSKI

Narodziny IV Republiki

(Od własnego korespondenta we Francji)

„Messieurs, la France a un governement — Francja ma Rząd, Panowie". Tymi słowy powitał zgromadzonych, dziennikarzy gen. de Gaulle, wychodząc w dniu 21 listopada w godzinach popołudniowych ze swego gabinetu, po ostatecznym utworzeniu pierwszej rady ministrów IV republiki francuskiej. Tak zostało zakończone ostre kilkudniowe przesilenie polityczne. Dziś można powiedzieć bez przesady — mogło ono zakończyć się inaczej: poważnymi wstrząsami wewnętrznymi — do rozruchów ulicznych, strajków politycznych i Bóg wie czego włącznie.

Tak więc w dniu 21 października naród francuski dokonał wyboru Konstytuanty, zadając jednocześnie w drodze referendum ludowego ostateczny cios dotychczasowemu ustrojowi, na którym opierała się III republika. Większością przeszło 95% głosów zażądał on utworzenia nowej konstytucji. Z wyborów wyszły zwycięsko — w niemal matematycznie równej mierze trzy stronnictwa; komuniści, socjaliści i chrześcijańska demokracja (M. R. P.).

Pierwsze posiedzenie Konstytuanty zwołano na dzień 6 listopada. Wybory nowego prezesa rady ministrów zostały wyznaczone na dzień 13 listopada.

W międzyczasie rozpoczęły się narady pomiędzy „trzema wielkimi", jak przezwano odrazu owe trzy zwycięskie stronnictwa. Narady miały na celu utworzenie większości parlamentarnej, ułożenie programu prac Konstytuanty i dokonania przez nią niecierpiących zwłoki reform, wreszcie, porozumienie się co do wyboru przyszłego szefa rządu. Co do tego ostatniego punktu — w owym czasie wątpliwości nie zachodziły — gen. de Gaulle cieszy się tak wielką popularnością, że tylko on mógł być jedynym kandydatem.

Nie obeszło się jednak bez trudności, spowodowanych przez komunistów. Pomijam szczegóły. W ostatecznym wyniku nastąpiła wszakże ugoda. Do porozumienia w kwestii jedynej kandydatury gen. de Gaulle przystąpiły również pomniejsze ugrupowania Konstytuanty i na posiedzeniu w dn. 13 listopada gen. de Gaulle został jednomyślnie wybrany, lecz tu właśnie nastąpiło krótkie spięcie. Komuniści zażądali przyznania im jednego z „kluczowych", jak to określili resortów: sprawy zagraniczne, wojsko, lub sprawy wewnętrzne. Gen. de Gaulle odrzucił to żądanie oświadczając, iż w obliczu b. napiętej w obecnej chwili sytuacji międzynarodowej, polityka zagraniczna Francji powinna zachowywać zupełną niezależność. Resort spraw zagranicznych jest ramieniem wykonawczym tej polityki, wojsko — oparciem, sprawy wewnętrzne i policja — osłoną. Przyznanie którejkolwiek z tych tek komunistom mogłoby sprawić na terenie międzynarodowym wrażenie, że Francja dokonała wyboru pomiędzy blokiem anglo-saskim a Z. S. R. R.

Komuniści dopatrzyli się w tym oświadczeniu aluzji do zależności ich polityki od rozkazów Moskwy i zareagowali z właściwą im gwałtownością. Prawda w oczy kole. Oświadczyli, że są głęboko dotknięci zarzucanym im w ten sposób brakiem patriotyzmu i niezależności. Obrażając ich tak dotkliwie gen. de Gaulle utracił w ich mniemaniu z miejsca kwalifikację wymagane od szefa rządu. Wystąpili więc z wnioskiem utworzenia rządu komunistyczno-socjalistycznego. Socjaliści odpowiedzieli, iż nie zmienią swego stanowiska w sprawie konieczności „trójporozumienia". Stronnictwo M. R. P. natomiast oświadczyło, że żadnej innej kandydatury — oprócz gen. de Gaulle — nie uzna. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Niepokój ogarnął społeczeństwo — twarze tłumu posępniały. Może w żadnym innym mieście wahania sytuacji politycznej nie odbijają się tak wyraźnie na twarzach przechodniów, jak w Paryżu. Spodziewano się rozruchów. W poniedziałek 19 listopada, gdy Konstytuanta miała powziąć dalsze postanowienia, siedziba Zgromadzenia — Palais Bourbon — była otoczona szerokim kręgiem pokaźnymi siłami policji. Paryż zachował jednak spokój. Ograniczono się do kilku pochodów w Quartier Latin (dzielnica uniwersytecka) na cześć de Gaulle. Była to też manifestacja przeważnie młodzieży uniwersyteckiej.

Znów pomijam szczegóły. Konstytuanta ponownie powierzyła formowanie rządu de Gaulle'owi (komuniści wstrzymali się od głosowania). Po 48 godzinach pertraktacji rząd został sformowany z udziałem komunistów i z reprezentacją ugrupowań umiarkowanych. Twarze przechodniów rozjaśniły się.

Jakże się przedstawia skład tego rządu? Widzimy w nim po pięciu przedstawicieli komunistów, socjalistów i M. R. P., jednego radykała, trzech przedstawicieli pomniejszych ugrupowań, dwóch fachowców z poza składu Konstytuanty. Sprawy zagraniczne zachowuje p. Bidault (M.R.P.) socjalista Tixier dzierży sprawy wewnętrzne, obronę narodową obejmuje de Gaulle, mając do pomocy ministra zaopatrzenia Tillon (kom.) i ministra armii Michelet (M. R. P.). W ten sposób komuniści uzyskali — tylko symboliczne zadośćuczynienie w jednym punkcie swych żądań. Nie otrzymali natomiast żadnej z żądanych tek.

■

W dn. 23 listopada de Gaulle przedstawił Konstytuancie program rządowy, kładąc na wstępie szczególny nacisk na nadzwyczaj skomplikowaną sytuację międzynarodową, która nie zdołała dotychczas dojść „ani do uregulowania ani do organizacji pokoju". Generał zaznaczył, iż aczkolwiek Konstytuanta jest powołana przede wszystkim do opracowania i uchwalenia Ustawy Konstytucyjnej, to jednak zachodzi konieczność dokonania tego w ciągu krótkiego czasu siedmiu miesięcy, na który to przeciąg czasu Konstytuanta uzyskała pełnomocnictwa od ciała wyborczego (po upływie tego czasu mają nastąpić normalne wybory według nowej ustawy konstytucyjnej), niezwłocznych reform. Przede wszystkim powinna być dokonana nacjonalizacja kredytu publicznego i elektryczności, następnie zaś przyjdzie upaństwowienie ubezpieczeń. Jednocześnie powinna być przeprowadzona reforma administracji w kierunku jej decentralizacji. Dalej deklaracja mówi o konieczności reformy sądownictwa i odbudowie armii na nowych podstawach, nie precyzując jednak zamiarów rządu w tym względzie. Mówiąc o obudowie kraju, generał wspomniał, że koszta wojny i okupacji obliczane są na 3.000 miliardów franków, 2 miliony budowli zostało zburzonych i uszkodzonych, 6 milionów osób straciło dach nad głową itd.

W końcu deklaracja przeszła do najtrudniejszego, być może, w chwili obecnej zagadnienia — do kwestii polityki międzynarodowej rządu. „Francja pragnie być łącznikiem, ale w żadnym wypadku nie przedmiotem w rozgrywkach międzynarodowych", powiedział szef rządu francuskiego. Pokój nie może być zapewniony bez stworzenia właściwej organizacji międzynarodowej. Ukazanie się na scenie światowej energii atomowej sprawia, że taka organizacja staje się kategorycznym imperatywem. W tej to właśnie sytuacji Francja, skierowana dzięki swemu położeniu geograficznemu, jednocześnie ku Wschodowi i Zachodowi, pragnie odegrać rolę łącznika. Lecz taka polityka, mówił dalej de Gaulle, bynajmniej nie wyłącza zawierania porozumień z poszczególnymi państwami. „Zawarliśmy blisko rok temu pakt sojuszniczy z Rosją, z którą nas nie dzieli żadna rozbieżność interesów narodowych, lecz która jak i my jest zainteresowana w zapobieganiu na przyszłość możliwości agresji niemieckiej. Pragniemy również w sposób zasadniczy utrzymać i rozwiązać stosunki przyjaźni z Ameryką. Pragniemy dojść do sharmonizowania naszej polityki z Anglią, z której interesami nasze interesy stykają się na Reniem na Wschodzie, w Afryce, i na Dalekim Wschodzie. Zacieśniamy nasze tradycyjne więzy z Belgią, Holandią i Luksemburgiem, nie przestając wyciągać ręki do krajów Europy środkowej, bałkańskich i skandynawskich". Z tych słów wynika, że de Gaulle nie wyrzekł się myśli zacieśnienia stosunków z Anglią i z państwami zachodnio-europejskimi. Słowa „blok" nie użył, gdyż słowo to jest czerwoną płachtą dla komunistów. Polski — generał nie wymienił. Do Polski bowiem jeszcze stąd daleko...

Deklaracja ministerialna i votum zaufania zostały przyjęte przez Konstytuantę jednomyślnie, z pewnymi tylko zastrzeżeniami ze strony opozycji prawicowej.

■

Jakież z tego można wyciągnąć wnioski? Wydarzenia, które omówiłem, raz jeszcze ujawniły głębokie rozbieżności nie tylko polityczne, lecz również moralne i duchowe, jakie istnieją również tutaj między światem komunistycznym z jednej strony, a chrześcijańskim i demokratycznym z drugiej. Ujawniła się raz jeszcze rozbieżność celów, ku którym zmierzają te dwa żywioły. Celem komunistów nie jest społeczna i gospodarcza odbudowa kraju na podstawach wolności i demokracji, lecz wzniecenie pożaru rewolucyjnego, bolszewizacja i sowietyzacja Francji. Stąd wypływa taktyka, polegająca na jątrzeniu, sabotowaniu wszelkich poczynań, na rozbijaniu prób jednoczenia się przeciwników. Wszystko mniej więcej obraca się dziś we Francji dokoła stanowiska komunistów. Gdy podejmowane jest jakiekolwiek poczynanie, pada od razu pytanie: „A co na to komuniści?"

Najbliższy cel komunistów jest dwojaki: z jednej strony należałoby obalić de Gaulle'a, a po drugie wchłonąć lub zniszczyć socjalistów. Początkowo — w okresie przedwyborczym — próbowano osiągnąć to proponując socjalistom połączenie się z komunistami w „całość organiczną" w postaci jednej „partii robotniczej". Gdy propozycja ta nie została przyjęta, usiłowano poróżnić socjalistów albo z M.R.P. albo z de Gaulle. W tym, czy w innym wypadku socjaliści wyszliby osłabieni, zaistniałaby u nich ewentualność rozłamu, groziłaby im utrata tej lub innej części klientelі wyborczej.

WIDOK Z FRANCJI

Fontanna w mieście prowincjonalnym

Sytuacja socjalistów jest tu uważana za nader trudną, jeśli nie krytyczną. Siłą faktów znaleźli się oni na rozdrożu między dwoma wzajemnie zwalczającymi się żywiołami. Muszą zachowywać równowagę niemal na ostrzu noża. Tym się tłumaczy m. in. ich pewne wahanie w okresie przesilenia, gdy jeden z najwybitniejszych ich przywódców Vincent Auriol, obecny minister stanu w nowym gabinecie — mimo swych szczerych sympatii osobistych dla de Gaulle'a, usiłował nakłonić M. P. R. do odstąpienia od generała w imię zachowania jedności „trzech wielkich". Chwiejność ta miała ten skutek, że partia socjalistyczna poniosła z okazji kryzysu dość dotkliwe straty moralne.

Czy rozwiązanie przesilenia i porozumienie, które zdołano osiągnąć jest, u uważa e za trwałe? Nikt w tym względzie nie robi sobie złudzeń. Niektórzy jak np. dziennik „*Combat*", bynajmniej nie zachowawczy, przychodzi do wniosków wręcz pesymistycznych. Akademicki, bardziej powściągliwy w swych enuncjacjach „*Le Monde*" pisze:

„...dziś utworzył się rząd. Szczęśliwe rozwiązanie, którego nie należy przypisywać ani z nadmiarem optymizmu ani też z systematycznym pesymizmem".

■

Zgołą nowym wydarzeniem jest utworzenie w rządzie gen. de Gaulle'a ministerstwa zaludnienia (Ministere de Population). Nawiasem mówiąc b. interesująca jest postać ministra tego nowego resortu p. Prigent, członka M.R.P. Jest to z pochodzenia syn robotnika i pomywaczki. Pracę zarobkową rozpoczął również jako robotnik w wieku 15 lat. Jako członek syndykatów chrześcijańskich wyróżnił się w dziedzinie opieki nad rodziną. Ma obecnie zaledwie 35 lat.

Otóż na tego młodego ministra spada ciężar rozwiązania niezmiernie zatrważającej we Francji kwestii populacyjnej. Trzeba pamiętać, że od mniej więcej 40 lat przyrost ludności we Francji zanikał prawie zupełnie, mimo stałego dopływu licznych zastępów emigracji cudzoziemskiej, a w tym przeszło pół miliona Polaków, przybyłych tu poczynając od r. 1920. W ciągu ostatnich pięciu lat przed wojną ilość zgonów rok rocznie przewyższała liczbę urodzin. Podczas wojny i okupacji, gdy statystyki nie były ogłaszane, zjawisko to musiało się jeszcze bardziej pogłębić, nie biorąc nawet pod uwagę strat bezpośrednich na polach bitew, w obozach jeńców i Gestapo itp. Straty te są obliczane na 1.200.000 osób w sile wieku. Obliczono, że jeśli ludność we Francji będzie ubywała w tym samym tempie, co dotychczas, to w roku 1985 spadnie ona do liczby 29 milionów, w tym 9 milionów starców i 5 milionów dzieci. Byłaby to właściwie śmierć narodu. Konieczne więc są ogromne wysiłki w celu odrodzenia rozrodczości. Zagadnienia te niezwykle odpowiedzialne i trudne powierzono p. Prigent.

Zresztą, z góry przewiduje się, że sam przyrost naturalny tych spraw nie rozwiąże. Przewidziane jest wprowadzenie do Francji w ciągu najbliższych 10 lat dwóch milionów emigrantów z krajów obcych. Otóż zagadnienia emigracyjne przechodzą do kompetencji nowego ministerstwa. Nasza stara osiadła emigracja zarobkowa we Francji tylko wygrać na tym może, zwłaszcza jeśli teka ministerialna pozostawać będzie w rękach przedstawiciela tak poważnego i rzeczowego stronnictwa, jakim jest M.R.P.

Mimo woli myśl zwraca się ku losom nowej polskiej fali emigracyjnej, tej z lat wojennych. Liczy ona we Francji kilkadziesiąt tysięcy osób — (nikt dotychczas nie potrafił podać dokładnej liczby). Składa się ona z emigrantów dobrowolnych, b. jeńców wojennych, deportowanych itd., przybyłych do Francji w różnym czasie, różnymi drogami, w rozmaitych okolicznościach. Po większej części rodacy nasi są ześrodkowani w obozach i schroniskach, częściowo radzą sobie na własną rękę. Dotychczas jakoś to idzie, ale zbliża się czas, gdy świadczenia ustaną, a własne zasoby wyczerpią się. Co wtedy będzie? Najwyższy czas, by o tym pomyśleć. Konieczna już teraz jest zorganizowana akcja, która w obliczu wielkiego zapotrzebowania rąk roboczych we Francji, w szczególności w rolnictwie — miałaby wszelkie szanse powodzenia. Mogliby tu znaleźć zastosowanie dla swych sił i zdolności również Polacy, przebywający bezczynnie w Niemczech i nie myślący obecnie o powrocie. Uniknęłoby się wtedy procesów w Padeborn.

Trzeba też mieć na uwadze, że Polacy, unikający zwracania się do „władz" konsularnych, podlegających „administracji" warszawskiej są, właściwie pozbawieni opieki administracyjnej i prawnej. Żadne nowe instytucje mogące zapewnić im istotną opiekę jeszcze nie powstały. Zresztą, nawet zwracanie się do nowych „władz" mało pomaga. Zacytuję taki wypadek: Obywatel polski, rodem z Wilna, był deportowany do Francji przez władze niemieckie. Posiada dowody tożsamości, ale po wyjściu z obozu, w celu uregulowania pobytu we Francji musiał przedłożyć władzom francuskim poświadczenie obywatelstwa, wydane przez konsulat. Zwrócił się więc do nowego „urzędu" i otrzymał odpowiedź, że sprawa obywatelstwa osób, pochodzących zza linii Curzona nie jest jeszcze uregulowana. Świadectwo mogłoby być wystawione, lecz dopiero po uzyskaniu przez potentą zgody konsulatu sowieckiego. Oczywiście z propozycji tej w danym wypadku nie skorzystano.

Jest to przykład typowy. Można by było wymienić wiele innych tego samego rodzaju.

Pora jest najwyższa do przystąpienia do organizacji nowego wychodźstwa, zorganizowania jego bytowania we Francji, stworzenia dla niego oparcia moralnego, prawnego i gospodarczego. Jedyny na to sposób — to stworzenie przede wszystkim centralnego organu, mogącego istotnie i miarodainie reprezentować całość tej emigracji. Istniejące dotychczas związki i organizacje, nastawione prawie wyłącznie na starą emigrację, zadaniu temu podołać nie mogą.

Zagadnienie pozostaje nierozstrzygnięte, mimo, że w chwili gdy piszę te wiersze, upłynęło pięć miesięcy od czasu zaprzestania działania naszych legalnych placówek.

ZAST.

Przeciw jedności świata

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Pisma brytyjskie podobnie, jak całą prasę światową zaskoczyła wiadomość o zwołaniu konferencji trzech ministrów spraw zagranicznych. Dość szybko jednak znaleziono wytłumaczenie dla tego posunięcia, odbiegającego od niedawnych oświadczeń prez. Trumana na temat nieaktualności zebrań „wielkiej trójki". W „News Chronicle" znany publicysta brytyjski p. Vernon Bartlett wysunął zasadniczy argument usprawiedliwiający, jego zdaniem, tę nową próbę polityki „appeasementu" (udobruchania).

„Jakkolwiek niesklonny do współpracy mógł być w ubiegłych miesiącach rząd sowiecki, opinia publiczna w Anglii nie wybaczyłaby z łatwością rządowi brytyjskiemu, który uchylałby się od uczynienia każdego wysiłku, nawet kosztem swej dumy, by uzyskać pełną rosyjską współpracę w zespole Narodów Zjednoczonych".

O argumencie tym należy pamiętać zawsze, gdy chodzi o kraje anglosaskie i demokratyczne, gdzie opinia publiczna odgrywa niemałą rolę w polityce. Przed wyborem każdej nowej drogi politycznej opinia ta musi być jednak przekonana, że innego wyjścia już nie było.

P. Vernon Bartlett wywodził, że pozyskanie Rosji do współpracy w Radzie Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych pozostaje celem polityki mocarstw anglosaskich. Z drugiej strony wszakże przyznawał, że zwołanie wprost „wielkiej trójki" uważane byłoby przez opinię za „krok wstecz". „Znakomita większość rządów — pisał — łącznie z rządami W. Brytanii i St. Zjedn., ze wzrastającą troską myśli, by zerwać z jakąkolwiek formą panowania „wielkiej trójki" nad światem". Min. Bevin, wyjeżdżając z Londynu na konferencję, tłumaczył Francji, że zebranie w Moskwie nie oznacza powrotu do „przestarzałej i nieco zdyskredytowanej polityki". Ale z drugiej strony oba rządy mocarstw anglosaskich postanowiły uczynić krok dla rozwiania „podejrzeń", istniejących w Moskwie.

„The Economist" z dnia 8 grudnia rozumując podobnie zaznaczył, że posunięcia polityki angielskiej i amerykańskiej z ubiegłych tygodni w stosunku do Rosji mogły prowadzić do „wycofania się Rosji na płaszczyznę gniewnej i niebezpiecznej izolacji". Stanowcze wystąpienia Londynu i Waszyngtonu wobec Moskwy prowokowały wytworzenie struktury pokojowej, opartej już nie „na swobodnym przyzwoleniu wszystkich głównych zwycięzców lub też na sojuszu, który wygrał wojnę".

„Jeżeli rząd brytyjski i amerykański — pisał „Economist" — postanowiły, że taki jest ich cel, polityka ich była uzasadniona. Lecz jeżeli nadal dążą one do współpracy, wówczas metoda ta chybiała celu, a wezwanie do Rosji, by była „rozsądna", wyrażanie ubolewania z powodu rosyjskiego „niezrozumienia", nie prowadziły do wyników, do których, jak twierdzą, rządy te wciąż zmierzają... W jaki sposób więc zachodni sprzymierzeńcy zamierzają rozwiązać zagadnienie rosyjskie — czy przez politykę wzajemnego przekonywania, prowadzącą do porozumienia, czy też przez uznanie klęski metod dyplomatycznych, co wiodło by do zerwania".

Również radykalny tygodnik „Tribune", w którym nieraz wypowiadano przeciwko dyktaturze „wielkiej trójki", a za polityką opartą na współpracy wszystkich Narodów Zjednoczonych, wystąpił z podobną tezą. Zdaniem tego pisma, Organizacja Zjednoczonych Narodów wtedy tylko powstanie, jeżeli dla tej idei pozyska się „całą wielką trójkę".

„Jeżeli natomiast Rosja pozostanie przeciwna tej koncepcji, idea ta nie mogłaby się wyrazić w praktyce, a każde dążenie do jej zrealizowania, wbrew Rosji i bez Rosji, mogło by w najlepszym razie doprowadzić do utworzenia angielsko—amerykańsko—zachodnio-europejskiego bloku, nieposiadającego wszakże światowego autorytetu".

W ostatnich tygodniach uczyniono niemało, by w świadomości Rosji zaryswała się możliwość powstania takiego bloku, w wypadku, gdyby Moskwa w dalszym ciągu odmawiała współpracy i prowadziła politykę faktów dokonanych. Wyjazd do Moskwy pp. Bevina i Byrnesa był więc jeszcze jedną próbą sprowadzenia Rosji ze „złej drogi". Ma to zarazem wykazać opinii anglosaskiej, że oba rządy angielski i amerykański czyniły wszystko dla pozyskania Rosji do współpracy. Pozostaje tylko pytanie, ile trzeba będzie zapłacić Rosji za jej objawy „dobrej woli", na jak długo starczy ta polityka nowego Monachium, i czy w ogóle polityka ta jest możliwa. Nie dojdzie się bowiem do jedności świata, utrzymując jego podział na strefy wpływów, których wyrazem są rządy wielkiej trójki.

Odpowiedź Rosji

Moskwa zareagowała w sposób swoisty na ten nowy monachijski krok obu mocarstw anglosaskich. W dniu, w którym p. Mołotow przyjmował p. Bevina i Byrnesa wódką oraz luksusowym bufetem, nadeszła wiadomość o utworzeniu „rządu" Azerbejdżanu, który uniezależnił się od Teheranu. Dalsze uznawanie przez ten „rząd" suwerenności szacha perskiego jest bez znaczenia wobec niedopuszczania na teren Azerbejdżanu wojsk perskich, a także wobec stwierdzenia, że tylko te ustawy perskie będą obowiązywały na terenie tej nowej „republiki", które nie będą stały w sprzeczności z jej ustawodawstwem. Rząd perski w ostrym oświadczeniu z dnia 18 grudnia postawił sprawę całkiem wyraźnie. Stwierdził, że nota Mołotowa wysłana w sprawie Azerbejdżanu do rządu amerykańskiego „pozostawała w zupełnej sprzeczności z rzeczywistymi faktami".

„Grupa awanturników z Azerbejdżanu stwierdzała nota — skorzystała z obecności wojsk obcych i pod pretekstem podjęcia ruchu demokratycznego zorganizowała zbrojną rewoltę przeciwko monarsze, przeciwko perskiemu rządowi demokratycznemu i przeciwko ustawie konstytucyjnej. Twierdzenie sowieckie, jakoby wojska rosyjskie nie powstrzymywały ruchu wojsk perskich rozmieszczonych w Iranie północnym, nie odpowiada prawdzie".

Sprawa perska wysunęła się w ten sposób na czoło zagadnień konferencji w Moskwie, przysłoniła ona wszystkie inne sprawy, zmąciła nawet ową swobodną i akademicką wymianę myśli, do której konferencja miała się ograniczyć. Zupełna tajemnica, którą osłania rząd w Moskwie świadczyłoby, że okres „wypróbowywania" partnerów przez Mołotowa ma się ku końcowi, i że być może Stalin okaże się bardziej „ugodowy", proponując jakiś handel wymienny może na tle ogólniejszym. Czy jednak wzrośnie przez to zaufanie wśród sprzymierzonych?

Chińskie manewry

Podczas gdy na Środkowym Wschodzie trwa polityczna ofensywa sowiecka, na Dalekim Wschodzie, który jest terenem rozgrywki amerykańsko-sowieckiej, zarysował się nowy manewr na pozór ugodowy. Jest to objaw niemal prawidłowy. Po mianowaniu gen. Marshalla ambasadorem w Chinach prasa amerykańska doniosła, że celem jego będzie realizacja polityki wychodzącej z założenia, że „Chiny zdezorganizowane i podzielone zagrażają pokojowi światowemu teraz i w przyszłości", i że trzeba temu zapobiec przez spacyfikowanie tego kraju.

Oświadczenie prez. Trumana w sprawie chińskiej sprecyzował bardziej to stanowisko. Wezwał on przedstawicieli obozu politycznego, na którym opiera się Czang Kai Szek, oraz przedstawicieli komunistów, do odbycia wspólnej konferencji i wyłonienia wspólnego rządu. Prez. Truman uważa, że pokój w Chinach jest uzależniony od powstania „rządu, który nie byłby utworzony przez jedno tylko stronnictwo, jak obecnie, ale przez większą ilość stronnictw". W zamian za częściowe opanowanie przez komunistów centralnego rządu chińskiego, prez. Truman domaga się, by komunistyczne siły zbrojne zostały wcielone do „jednolitych narodowych chińskich sił zbrojnych". Gdy nastąpi w Chinach zjednoczenie i pokój, Stany Zjednoczone udzielą im pomocy w postaci dużej pożyczki.

Zawarty więc jest tu wyraźnie przekonywujący nacisk. Pytanie tylko, jak propozycje Trumana, do których oba obozy chińskie ustosunkowały się w oficjalnych deklaracjach z przesadnym entuzjazmem, będą w praktyce zrealizowane. Między tym, co się mówi, a co się robi w Azji istnieje zazwyczaj przepaść. Partia komunistyczna nie jest ugrupowaniem samodzielnym, a wątpić należy, by Rosja wyrzekła się na dalszą metę swej roli na Dalekim Wschodzie i by pozwoliła na utworzenie istotnie „zjednoczonych, jednolitych Chin" które ciążyłyby ku Stanom Zjedn. Ale i na tym terenie musi być podjęta próba zgody i kompromisu, by wykazać, że czyni się wszystko dla wycofania wojsk amerykańskich z Chin. Inicjatywa amerykańska może być zrzucona na rękę Moskwie, która prowadząc politykę przede wszystkim z Anglią, usiłuje zjednywać sobie Stany Zjednoczone. Nowe posunięcie prez. Trumana uważane jest w każdym razie za odstępstwo od metod proponowanych przez b. ambasadora Hurleya i tzn. od kołowiczego i wyłącznego popierania Czang Kai Szeka. Pełna pomoc amerykańska pozwoliłaby Czang Kai Szekowi szybko uporać się z armią komunistyczną. Ale przy końcu takiej polityki byłby otwarty konflikt z Rosją, do którego opinia amerykańska nie jest przygotowana.

Wielka Brytania w obronie Europy

Pozycja W. Brytanii między Rosją a St. Zjednoczonymi nie jest łatwa. Trudność jej położenia odsłoniła dyskusja w parlamencie brytyjskim nad sprawą ratyfikacji trzech umów finansowych ze Stanami Zjednoczonymi; układu w sprawie pożyczki; zaciągniętej w Ameryce, układu w Brettonwoods o stabilizacji walut i porozumienia w sprawie wytycznych w handlu anglo-amerykańskim. Opinia brytyjska była niemal jednomyślnie zdania, że układy te ustalają kredytową, walutową i handlową supremację Stanów Zjednoczonych. Uważano jednak dość zgodnie, że W. Brytania nie ma innego wyjścia, jak je ratyfikować.

„Jest tylko jedna rzecz, pisał „Economist", do której nie jesteśmy zobowiązani. Nie jesteśmy zmuszeni do oświadczenia, że układy te nam się podobają. I istotnie nie mówimy tego".

Zły humor opinii brytyjskiej wyraził się zwłaszcza w artykule „The New Statesman and Nation" — „Dolarowa dyplomacja". Autor wychodził z założenia, że W. Brytania musi na nowo ustalić swoją postawę w erze atomowej.

„Czy mamy dążyć, zapytywało pismo, z pomocą amerykańskich dolarów i jako partnerzy w anglosaskim przymierzu, do utrzymania naszego obecnego położenia, jako partnera w wielkiej trójce, a więc wielkiego światowego mocarstwa, uzbrojonego dla podtrzymywania polityki dostosowanej do tej roli? Lub też przyjmiemy statut największego państwa spośród średnich mocarstw?"

Autor wypowiedział się za tą drugą alternatywą, choć widział w niej ekonomiczną „Dunkierkę Anglii". W związku z tym jednak, pismo oświadczało się za zrezygnowaniem z wielu ambicji i zmniejszeniem powojennych sił zbrojnych, które jeszcze latem przyszłego roku mają wynosić 2 miliony ludzi. Zupełnie niesłusznie pismo widzi w tym uzbrojeniu, jak i w planie wytwarzania bomby atomowej wejście na tory polityki francuskiej po poprzedniej wojnie, kiedy Francja usiłowała utrzymywać znaczne siły zbrojne, przekraczające jej możliwości polityczne. W gruncie jednak w uwagach tych, przejawiała się obawa, że W. Brytania za kredyty amerykańskie utrzymywać będzie znaczne siły zbrojne, którymi pośrednio i za darmo bronić będzie przede wszystkim pozycji St. Zjedn. Wspomnienie samotnej walki prowadzonej do roku 1941, walki, która obróciła się na korzyść St. Zjednoczonych, jest w Anglii bardzo silne. Kierunek antyamerykański w opinii angielskiej, chciałby, by W. Brytania, jako mocarstwo „średnie", okazywała obecnie jak największą wstrzemięźliwość polityczną, pozostawiającą Ameryce główną troskę o rozwikłanie kłopotów z Rosją. Jak najdłuższą neutralność wobec konfliktu amerykańsko-sowieckiego, oto ideał tego kierunku.

Koncepcja to oczywiście bardzo teoretyczna. Należy się jednak z nią liczyć, gdyż wiele ona tłumaczy. Tłumaczy przede wszystkim zwrot W. Brytanii w stronę Europy. Wyraził się on w zawarciu w przededniu konferencji w Moskwie układów z Francją w sprawie Syrii i Libanu i zażegnania istniejących tam konfliktów. Wobec powstania nowego niebezpieczeństwa grożącego krajom Środkowego Wschodu, wytworzenie tam wspólnego frontu francusko-brytyjskiego posiada niemałe znaczenie, aczkolwiek prasa francuska po pierwszych objawach zadowolenia przestrzegała przed nadmiernym entuzjazmem, twierdząc, że „głównym zagadnieniem obchodzącym Francję jest nie Syria ale Niemcy". Nad Renem oczekuje Francja przede wszystkim dowodów przyjaźni.

Drugim wyrazem europejskiego zwrotu w polityce brytyjskiej była zacięta walka, która rozegrała się pod przewodnictwem Anglii w łonie komisji przygotowującej Organizację Narodów Zjednoczonych w sprawie ustalenia siedziby tej Organizacji. W. Brytania walczyła do upadłego, by siedziba ta pozostała w Europie, przywiązując do tego znaczenie zasadnicze. Republiki amerykańskie oraz Rosja sowiecka z jej satelitami były Europie przeciwne. W głosowaniu 30 głosami, (wśród których znalazł się głos przedstawiciela.

(Dokończenie na str. 15)

Chwytanie Anglii za gardło

W przededniu konferencji w Moskwie ukazały się prasie sowieckiej bardzo charakterystyczne artykuły. Znany publicysta sowiecki Dawid Zasławski w artykule „Prawdy", chcąc odwrócić uwagę od wojsk sowieckich w Persji, zaczął dopytywać się, co znaczy utrzymywanie wojsk brytyjskich w Persji, a również w Egipcie, w Palestynie, w Indonezji, nie mówiąc już o Belgii, Francji, Holandii, Danii i Norwegii. W kilka dni potem w czasopiśmie „Bolszewik"; organie centralnego komitetu partii komunistycznej, podjęto atak na brytyjski system kolonialny, który „sam przez się stanowi niebezpieczeństwo dla ogólnego pokoju". Artykuł stwierdzał, że rząd sowiecki, „nie może zachowywać obojętnej postawy wobec zagadnienia podziału terytoriów kolonialnych". Czasopismo wywodziło m.in., że „mimo powtarzanych wciąż obietnic rządu brytyjskiego, Indie pozostają krajem bez praw politycznych. W praktyce żadne zmiany nie następują w zarządzie Indiami, jedynie 14% ludności posiada prawa wyborcze". Artykuł zaznaczał, że „nie lepsza sytuacja zachodzi w innych brytyjskich kolonjach". "Brytyjski kapitał, pisał „Bolszewik", utrzymuje uprzywilejowane stanowisko w kolonjach dzięki temu raz innym barierom tak, że żaden zagraniczny współzawodnik nie może ich przekroczyć".

Również St. Zjedn., które przez propagandę sowiecką są bardziej oszczędzane niż W. Brytania, nie uniknęły napaści prasy moskiewskiego, które raz jeszcze wystąpiło przeciw „jednostronnej" kontroli amerykańskiej nad Japonią i domagało się dopuszczenia wszystkich sprzymierzonych (czytaj Rosji) do zarządu nad tym krajem.

Wystąpienia prasy sowieckiej przeciwko wojskom brytyjskim na Środkowym Wschodzie było zapowiedzią, że Rosja wysunie obecnie zagadnienie nowego podziału wpływów na całym tym obszarze i nie dopuści do wyłącznego omawiania sprawy Azerbejdżanu bez rozważenia kwestii Turcji, Iraku i Egiptu. Istotnie ukazały się już wiadomości o dalszych działaniach azerbejdżańskich „demokratów" (mówiących tylko po rosyjsku.) Obsadzają oni w Persji brzegi Morza Kaspijskiego, a „agitacja" ich ogarnia już Kurdów irackich.

Zachowanie się rządu sowieckiego wobec Turcji świadczy zresztą, że Moskwa pragnie zaostrzać w tej chwili stosunki również z tym krajem. Rząd sowiecki odrzucił bowiem wszystkie wyjaśnienia rządu tureckiego w sprawie niedawnych zajść antykomunistycznych w Stambule. Agencja sowiecka TASS podała do wiadomości, że w „replice tureckiej nie było żadnego argumentu, który mógłby zmienić pogląd rządu rosyjskiego, iż demonstracje były nie tylko antysowieckie, ale przeprowadzono do pewnego stopnia za wiedzą i zgodą rządu w Ankarze". Nota sowiecka, która w ten sposób została skomentowana przez TASS, wywodziła min., że „rząd sowiecki nie może zapoznawać tak wybitnie prowokacyjnej akcji w stosunku do ZSRR", i że „odpowiedzialność za tę akcję składa na rząd turecki".

Gra więc idzie dalej o grubą bardzo stawkę. Nawet powściągliwy i zawsze skłonny do usprawiedliwiania Rosji, londyński „Times" zaznaczał, że „W. Brytania opiera swoje stanowisko we wszystkich tych sprawach na ścisłym przestrzeganiu istniejących traktatów i na obronie swych interesów, zwłaszcza, jeśli dotyczą one zabezpieczenia systemu imperialnych dróg komunikacyjnych"

Nie oznacza to wszakże, by nie próbowano kompromisu. Rosji zapewne chodzi na razie tylko o kompromis, który stanowiłby etap w jej marszu ku odkrytym jej celom strategicznym i politycznym. Nagłe zjawienie się Stalina w Moskwie świadczyłoby, że okres „wypróbowywania" partnerów przez Mołotowa ma się ku końcowi, i że być może Stalin okaże się bardziej „ugodowy", proponując jakiś handel wymienny może na tle ogólniejszym. Czy jednak wzrośnie przez to zaufanie wśród sprzymierzonych?

DOKUMENTY

Protest gen. Bora-Komorowskiego przeciw oskarżeniu Armii Krajowej o antysemityzm

Na prośbę Kwatery Prasowej Polskich Sił Zbrojnych gen. Bór Komorowski złożył 13 grudnia rb. następujące oświadczenie, które podajemy wedle komunikatu PAT:

„Ostatnio kilka dzienników brytyjskich doniosło o napływie do Berlina Żydów uciekających z Polski. Korespondenci nie zauważyli, że z Europy Środkowo-Wschodniej uciekają nie tylko Żydzi. „News Chronicle" i „Daily Mail" przypisują ucieczkę Żydów rzekomej terrorystycznej działalności Armii Krajowej. Armia Krajowa została rozwiązana rozkazem swego ostatniego komendanta, wobec czego powyższe oskarżenie jest bezpodstawne. „News Chronicle" posuwa swe oskarżenia do twierdzenia, że przed wyzwoleniem Polski Armia Krajowa współdziałała z SS w eksterminacji Żydów. Jako były komendant Armii Krajowej protestuję przeciw tym twierdzeniom — sprzecznym z faktami i wyrządzającym potworną krzywdę moralną uczestnikom Polskiego Ruchu Podziemnego.

„Armia Krajowa rekrutowała się ze wszystkich warstw społeczeństwa polskiego. W szeregach jej byli również Żydzi. Armia Krajowa występowała najostrzej przeciw prześladowaniu i mordowaniu Żydów — potępiając równocześnie antysemityzm w ogóle. Dowodów na to jest dużo w polskiej prasie podziemnej. W czasie walki o ghetta w miastach polskich — z rozkazu ówczesnego dowódcy Armii Krajowej, gen. Grota Rowieckiego, Armia Krajowa nawiązała łączność z żydowską organizacją bojową, udzielając pomocy i broni w Warszawie, Białymstoku, Częstochowie i Kielcach. Armia Krajowa współdziałała z żydowską organizacją bojową. Armia Krajowa wykonała również wyroki śmierci na prześladowcach Żydów. Żydzi, którzy uniknęli śmierci z rąk niemieckich, zawdzięczają życie polskiej ludności. W Powstaniu Warszawskim brali udział Żydzi, członkowie żydowskiej organizacji bojowej, a również Żydzi z innych krajów, uwolnieni z obozów koncentracyjnych przez Armię Karjową.

„Dlatego z największym żalem patrzymy, jaki cel mają wystąpienia prasowe, których jedynym skutkiem jest posiew nienawiści wśród narodów, które niedawno łączyła wspólna walka o wspólne cele".

Prześladowanie duchowieństwa i nauczycielstwa w Polsce

Katolicki tygodnik „The Tablet" donosi, że Józef Slipyj, grecko-katolicki Metropolita Lwowa zmarł w więzieniu sowieckim w Kijowie. Należy dodać, że w Kijowie w więzieniu przebywają obecnie wszyscy katoliccy biskupi obrządku unickiego.

Arcybiskup Slipyj zajmował stolicę metropolitarną we Lwowie od czasu śmierci metropolity Szeptyckiego, w listopadzie 1944 r. Arcybiskup Slipyj był młodym i zdrowym człowiekiem — pisze „The Tablet" — śmierć mogła nastąpić wskutek złego traktowania w więzieniu, gdyż prawdopodobnie Rosjanie nie mogli mu przebaczyć prowadzonej przezeń przed wojną akcji na rzecz porozumienia polsko-ukraińskiego.

Omawiając obecny stan hierarchii katolickiej w Polsce, „The Tablet" podkreśla, że z niedawną śmiercią arcybiskupa lwowskiego obrządku łacińskiego, Twardowskiego, tylko dwie stolice arcybiskupie w Polsce mają jeszcze swych ordynariuszów, mianowicie: Gniezno i Kraków. Pozostałych pięć, jak również diecezje: Tarnów, Chełmno, Włocławek, Płock i Sandomierz, nie mają nawet biskupów tytularnych, chociaż w ubiegłym miesiącu kardynał Hlond mianował ks. dr. Wronka administratorem apostolskim diecezji Chełmno i Gdańsk. Z 51 biskupów polskich, pozostało tylko 23. Nieznany jest także los biskupa grecko-katolickiego diecezji Przemyśl, Kocyłowskiego, oraz jego pomocnika ks. Łakoty. Nie wiadomo, czy zostali wywiezieni do Kijowa.

To samo pismo donosi o „czystce" wśród nauczycieli, którzy nie poparli listy rządowej na Kongresie Związku Nauczycielstwa Polskiego ze środkowej i zachodniej Polski, jaki odbył się w październiku. Ponieważ listę „rządową" poparło tylko 40 delegatów na 600, — w ciągu kilku następnych tygodni około 2.000 nauczycieli zostało aresztowanych. Dopiero po ich aresztowaniu Radio Warszawa rozpoczęło kampanię za wyeliminowaniem „elementów reakcyjnych" ze stanu nauczycielskiego. Następnie 23 listopada jeden z przywódców komunistycznych związków zawodowych, Witaszewski, wystąpił na Kongresie Z. Z. z otwartym atakiem na nauczycieli.

Tygodnik katolicki omawia również anty-angielską kampanię, prowadzoną w Polsce za pomocą prasy i radia, dając przykłady z dzienników i tygodników warszawskich. To samo zresztą dzieje się i w Jugosławii, gdzie zaprzyjaźnienie się z Brytyjczykiem może grozić więzieniem, a nawet karą śmierci. Sensacją stało się zeznanie w tej sprawie majora armii brytyjskiej Harolda Greya, który miał być świadkiem podobnych egzekucji w Serbii, na ludziach, oskarżonych o kontakty z Brytyjczykami. Harold Grey oświadczył to publicznie na zebraniu zorganizowanym w ubiegły poniedziałek w Londynie przez Ligę Wolności Europejskiej.

List otwarty biskupów litewskich

Katolicki tygodnik angielski „The Tablet" ogłosił dnia 1 bm. pełny tekst listu biskupów litewskich przebywających na wygnaniu, w którym biskupi ci zwracają się do episkopatu i katolików całego świata z protestem przeciwko wcieleniu Litwy do Związku Sowieckiego i przeciw trwającym prześladowaniom ludności.

List ten podajemy wedle streszczenia P. A. T.:

„W imieniu katolików Litwy, która w ciągu tej wojny tak potwornie ucierpiała, zwracamy się jako duchowi pasterze Litwinów do episkopatów wszystkich krajów, a za ich pośrednictwem do władz i społeczeństw, by zwrócić ich uwagę na cierpienia naszego ludu.

„Mimo postanowienia utrzymania neutralności, Litwa w ciągu tej wojny poniosła największy ciężar trzech po kolei bezwzględnych okupacji.

„W chwili wybuchu wojny Związek Sowiecki, chcąc wykorzystać sytuację stał się wspólnikiem Niemiec przy rozbiorach Polski i narzucił Litwie w październiku 1939 r. „traktat pomocy", na mocy którego Litwa została obsadzona przez garnizony sowieckie. W 8 miesięcy później 15. czerwca 1940 r. pod fałszywym pretekstem rzekomego niedotrzymywania „traktatu" i z pogwałceniem wszelkich zawartych umów — Związek Sowiecki wbrew swym solennym obietnicom wystosował ultimatum do rządu litewskiego, nakazał okupację Litwy przez silne oddziały armii czerwonej, usunął legalny rząd, a w parę tygodni później w sposób perfidny zaanektował Litwę tak samo jak Łotwę i Estonię. Bezpośrednio przed zagarnięciem Litwy, Moskwa zerwała konkordat pomiędzy Litwą a Stolicą Apostolską.

„Bramy więzień zostały szeroko otwarte i rozpoczęły się masowe aresztowania. Propaganda moskiewska starała się udowodnić, że Litwa dobrowolnie połączyła się ze Związkiem Sowieckim. Jest to niezgodne z prawdą, gdyż procent komunistów na Litwie był minimalny. **Prawdziwe uczucia całego społeczeństwa ujawniły się w pełni w czasie powstania przeciw sowieckim okupantom, które wybuchło 22 czerwca 1941 r.** i gdy stworzony został nowy rząd litewski, reprezentujący wszystkie patriotyczne ugrupowania. Rząd ten przywrócił suwerenność państwową, odrzucając usługi sowiecki. Niestety po pierwszej okupacji natychmiast nastąpiła druga okupacja niemiecka, która obaliła ten nowy rząd i wprowadziła własną administrację, tworząc z Litwy okręg okupacyjny.

„Okupacja sowiecka w pierwszej fazie trwała 1 r. od czerwca 1940 do 22 czerwca 1941. Okres ten wystarczył, by zrujnować doszczętnie życie zarówno polityczne, gospodarcze i socjalne, jak kulturalne i religijne. Tysiące Litwinów zamordowano, wtrącono do więzień, lub też wywieziono w najdalsze okolice Związku Sowieckiego. I tak naprzykład w ciągu zaledwię trzech dni od 14 czerwca do 17 czerwca 1941 r. wywieziono do Rosji 40.000 ludzi bez różnicy wieku i płci. Podróż w zatłoczonych wagonach towarowych bez wody i żywności powodowała ogromną śmiertelność. niem pociągu na stacjach litewskich. Los Wielu ludzi zmarło jeszcze przed wyruszeniem pozostałych przy życiu jest nieznany. Do Litwy dochodziły bardzo rzadko listy, z których wynikało, że mężczyzn zamknięto w obozach koncentracyjnych, kobiety zaś wysłano do fabryk i gospodarstw kolektywnych, a dzieci odłączono od rodziców, umieszczając je w sowieckich przytułkach.

„Związek Sowiecki dążył do systematycznego wytępienia narodów bałtyckich i **jak wynika z tajnych dokumentów, które zostały znalezione na Litwie po obaleniu administracji sowieckiej, Moskwa projektowała wywiezienie z jednej tylko Litwy 700.000 ludzi.**

*„Okupacja niemiecka, która trwała trzy lata, pozornie wydawała się mniej ciężką, niemniej była ona dalszą fazą krzyżowej drogi narodu litewskiego. Wszelka opozycja przeciw ideologii nazistowskiej była tępiona przez Niemców z całą bezwzględnością. Katolicy litewscy znów znaleźli się w więzieniach i w obozach, a 100.000 wywieziono na niewolnicze roboty do Niemiec. Prześladowania te jednak nie zmniejszyły chęci oporu. **Hasła wyzwolenia małych narodów głoszone przez wielkie demokracje zachodnie, podtrzymywały społeczeństwo litewskie w jego walce o prawdziwą wolność i niezależność.**

„W r. 1944 front przesunął się na terytorium Litwy i niezliczone miasta i wsie uległy zniszczeniu. Niemcy cofając się palili domostwa i zabierali dobytek, przymusowo ewakuując ludność.

„Niektórzy Litwini w obawie przed terrorem sowieckim dobrowolnie uciekali do Niemiec, inni zaś deportowani byli przymusowo, tak że obecnie **w Niemczech przebywa około 200.000 Litwinów, m. innymi 3 biskupów i około 250 księży. Litwini, jak również Łotysze i Estończycy, którzy zbiegli spod sowieckiego terroru, przebywają głównie w amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej strefie okupacyjnej, bojąc się powrócić do swych krajów, wiedząc z własnego doświadczenia co oznacza bolszewizm.**

„Biskupi zwracają się z apelem do władz mocarstw zachodnich, by nie wysiedlały przymusowo z Niemiec tych, którzy nie chcą powracać pod okupację sowiecką i piszą, że dziś kraje bałtyckie stanowią jakby wielkie więzienie pod strażą N. K. W. D. Ateistyczny komunizm nie zmienił w niczym swych metod z r. 1941. Dziś tak samo, jak poprzednio, trwają prześladowania religijne, księży aresztuje się i męczy w więzieniu, by zmusić ich do współpracy z tajną policją. Seminaria są zamknięte, a biskupi i księża usuwani.

„Wbrew wszelkim świętym prawom sprawiedliwości i ludzkości Litwa zagrożoną jest uznaniem jej za integralną część Związku Sowieckiego. Przysięgamy przed Bogiem, piszą biskupi, że Litwa nie chce być częścią Rosji i nadal będzie walczyła o swoją niepodległość. Każdy Litwin odrzuca myśl, by mógł stać się na zawsze niewolnikiem sowieckiego komunizmu".

Biskupi stwierdzają dalej, że narody bałtyckie zostały pominięte w rozmowach w sprawie wyzwolenia narodów uciśnionych. Dziś Litwa nie jest w stanie wyrazić swej woli w sposób jasny, dlatego też zwracamy się do katolików całego świata, by stanęli w obronie jej słusznych praw i wpłynęli, aby na konferencji pokojowej prawa te zostały uznane i by nie ratyfikowano narzuconej siłą inkorporacji Litwy do Związku Sowieckiego. **Gdyby** ne doszło do wyzwolenia Litwy i innych krajów bałtyckich, byłaby to niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba, oraz triumf fałszu i brutalności, a zaprzeczenie najbardziej naturalnych ludzkich praw".

List ten podpisali: Metropolita Arcybiskup kowieński Józef Skvireckis, Biskup sufragan kowieński Wincenty Brizgis i Biskup sufragan Wincenty Padolskis.

SYTUACJA NA BLISKIM WSCHODZIE

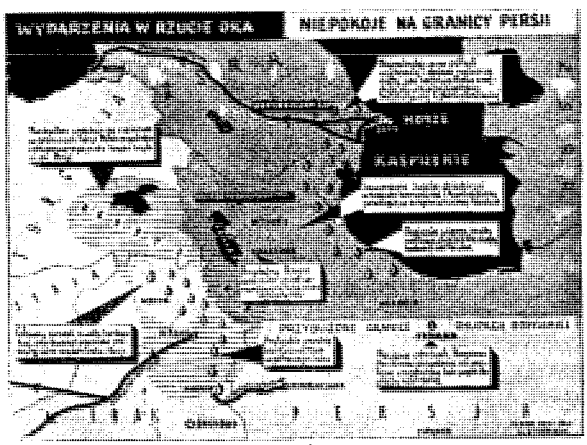

(„Parade")

(Dokończenie ze str. 14)

administracji warszawskiej) opowiedziano się na rzecz Ameryki przeciwko frontowi europejskiemu, który skupił głosów 14. (Nawiasem należy dodać, że początkowo przedstawiciel administracji warszawskiej opowiedział się za Europą, później widocznie został odpowiednio skarcony i głosowali z Rosją sowiecką). Punkt ciężkości polityki światowej znowu więc przesunął się na Zachód, za Ocean. Europa wciąż przegrywa. Nie ma jej też na konferencji w Moskwie. A przecież z wielką słusznością lord Templewood (b. ambasador bryt. w Madrycie) stwierdzał w Izbie Lordów:

„Dopóki istnieją obecne podziały w Europie, dopóki przez kontynent europejski przechodzić będzie żelazna kurtyna nie zrodzą się w moim przekonaniu nadzieje na całkowite odbudowanie Europy. Całkowite odrodzenie Europy zależy od jej zjednoczenia. Tak, czy inaczej, przed następnym pokoleniem stanie zagadnienie, w jaki sposób zebrać te fragmenty, na które rozpadła się cywilizacja europejska i odtworzyć jedność Europy. Istotą odbudowy europejskiej jest jedność Europy".

Nie należy jednak zapominać, że jedność europejską zabiła doktryna polityczna, która znalazła wyraz w uchwałach teherańskich i jałtańskich. Kto dąży do odbudowy Europy, musi jednocześnie dążyć do usunięcia fatalnej koncepcji zrodzonej w Teheranie. Słusznie pisał publicysta amerykański Mowrer w „New York Post", że:

„Jeżeli doktryny jałtańskie zostaną utrzymane pozostawiając świat pod władzą trzech przywódców, to wówczas należy stwierdzić, że świat jest naładowany materiałem wybuchowym".

Wszystko, co dziś dzieje się na świecie jest następstwem tej katastrofalnej doktryny, ustanawiającej imperializm, strefy wpływów, podział świata na bloki i obszary strategiczne. Wynikiem tego jest pokój zbrojny i... wojny pośrednie. Min. Bevin udając się do Moskwy nawoływał swoją opinię do cierpliwości. Świat okazałby dużo cierpliwości, gdyby istotnie widział, że czynniki, które wzięły odpowiedzialność za jego losy, zmierzają krok za krokiem do jego jedności. Na razie jednak obserwujemy, że Rosja realizuje cierpliwie swoje cele, które są zaprzeczeniem jedności świata. Świat zachodni będzie musiał wybrać: albo „wielka trójka" i rozbicie świata na trzy wrogie obozy, albo jedność świata przez odrzucenie Jałty.

Zasi.

Poszukiwania rodzin

Gucza Kurt Pol. For. CMF 305 z Bydgoszczy poszukuje brata Bronisława i znajomych.

Winiecki Leon C.M.F. 62 poszukuje brata Winiecki Stefana z Bydgoszczy, oraz krewnych i znajomych.

Sukniewicz Stefania C.M.F. 71. — poszukuje Sunkiewicz Stanisławę ur. 1911.

Domański Jan C.M.F. 71, — poszukuje Domańskiego Jana Stefana ur. 1926. w Warszawie, w styczniu 1944 w Oświęcimiu.

Lewandowski Jerzy, Polish Engineering Wing C.M.F. — poszukuje żony Aliny Marii.

Dymek Aleksander C.M.F. 619. — poszukuje Dymek Cecylii, Antoniego i Alfonsa, wszyscy z Pniew, Wlkp.

PRZEGLĄD PRASY

Rosja a Europa Wschodnia

Konserwatywny tygodnik londyński „The Spectator" zamieścił artykuł Hugh Seton-Watsona, naświetlający główne elementy sytuacji w Europie Wschodniej. Przytaczamy go tutaj w streszczeniu — bynajmniej nie dla celności jego myśli politycznej, lecz właśnie na odwrót — jako okaz błędu, który w szczególniejszy sposób unaocznią trafność polskiego poglądu na sprawę. Artykuł Watsona zasługuje nadto na uwagę także jako dowód, że angielska opinia publiczna w pełni docenia żywotne znaczenie problemu Europy Wschodniej dla bezpieczeństwa Brytanii. Wsłuchajmy się w tok myśli autora, aby wystudiować, gdzie i o ile odchyla się on od tej rzeczywistości, której my Polacy jesteśmy niestety najlepszymi ekspertami:

„Od chwili pokonania Niemiec opinia publiczna okazuje wiele zainteresowania Europą Wschodnią. Podkreśla się, że **W. Brytania dlatego weszła do wojny w r.** 1939, że opanowanie Europy Wschodniej **przez Hitlera prowadziło do poddania całego kontynentu pod hegemonię niemiecką, która zagrażała bezpieczeństwu wysp brytyjskich. Dziś jednak Rosja panuje wszechwładnie na tym samym obszarze. Czyż nie zagraża to Brytanii?** Podkreśla się również, że metody rządzenia, stosowane przez Rosjan lub przez miejscowe rządy, które **Rosja popiera, — mało mają** wspólnego z zasadami zachodniej demokracji, o które — jak mówiono — Zachód walczył w tej wojnie.

„Mało wiadomości przecieka spoza sowieckiej żelaznej kurtyny... Dosyć jednak, by **wywoływać gwałtowne** polemiki w prasie światowej. W potokach wymowy często jednak zapomina się o pewnych zasadniczych czynnikach obecnej sytuacji. Artykuł niniejszy ma właśnie na celu... przez proste stwierdzenie pewnych czynników podstawowych — zmniejszyć nieco panujący zamęt".

Jako najważniejszy czynnik faktyczny we Wschodniej Europie wymienia autor jej całkowitą ruinę gospodarczą. W obliczu tego zniszczenia rządy miejscowe stają tam przed trudnym dylematem „Rządy te muszą mianowicie żywić miasta i rzesze robotnicze, gdyż inaczej nie uruchomią przemysłu. Pociąga to potrzebę wywierania nacisku na wieś, a nacisk ten pociąga niepopularność rządu. Świadomość własnej niepopularności popycha rząd ku metodom bardziej dyktatorskim. I tak wokoło". Autor zapomina jednak, że przyczyną ruiny jest nie tylko wojna, ale system oparty na grabieży. Autor snuje dalej jednostronnie swą myśl:

„Gdyby nawet oddano pełnię władzy w poszczególnych krajach dr. Maczkowi, hr. Bethlenowi czy Prezydentowi Raczkiewiczowi — i gdyby wytępiono wszystkich komunistów — ludność niemniej głodowałaby nadal(?) i będzie ona głodowała dopóty, — dopóki nie ruszy przemysł. Ten stan rzeczy może ulec poprawie tylko przez dostarczenie Wschodniej Europie surowców oraz żywności dla miast z zagranicy.

„Mimo tych niedostatecznych zasobów UNRRA spełnia wspaniale swą funkcję w krajach sprzymierzonych — nie zaopatruje jednak wcale Węgier ani Rumunii. Otrzymują one jedynie pomoc od Związku Sowieckiego. W zamian jednak uproszono je o podpisanie umów gospodarczych z Rosją, które zapewniają jej prawo do korzystania z ich zasobów przez szereg lat".

Z porównania tych umów sowieckich z umowami narzuconymi państwom Europy Wschodniej przez Niemcy przed wojną i w czasie wojny autor wyprowadza wniosek, że:

„Umowy niemieckie chociaż szkodliwe politycznie były jednak do pewnego stopnia gospodarczo korzystne. Przed wojną rolnicy we Wschodniej Europie zdani byli na łaskę fluktacji cen światowych. Dobrodziejstwa obrotów międzynarodowych były dla nich często równoznaczne z biedą, niedożywieniem i chronicznym bezrobociem. W tych czasach Niemcy stały się dla nich poważnym rynkiem, co umożliwiło rządom planowanie na kilka lat naprzód. Jeśli Rosja dostarczy dziś takiego samego rynku — dopomoże im to do odbudowy. **Jeżeli Brytania i Ameryka będą również skłonne przez szereg lat wchłaniać eksport Europy Wschodniej — to pomogą im do odbudowy w jeszcze większym stopniu niż Rosja.** Jeżeli jednak nie mają tego zamiaru — to ich krytyka traktatów rosyjskich jest mniej przekonywujące. (pytanie jednak, czy obecnie zależy to rzeczywiście tylko od woli Zachodu — przyp. red. O. B.).

„Europa Wschodnia w okresie pomiędzy dwiema wojnami była zatruwana rywalizacją ślepych i fanatycznych nacjonalizmów... Ta rywalizacja przyniosła korzyść tylko Niemcom i ich piątej kolumnie... Dzisiaj problem nacjonalizmu należy inaczej rozpatrywać w północnej części okupowanej przez Rosję Europy Wschodniej — a inaczej w jej części południowej. Polacy i Czesi wyżywają się w swojej narodowej nienawiści przeciw Niemcom, przeciw Węgrom oraz pomiędzy sobą... Natomiast narody naddunajskie na odwrót dążą do pogodzenia się. (Watson nie widzi, jak dalece oba te zjawiska są sztucznie przez Rosję rozsierowane i wygrywane — przyp. red. O. B.).

„W okresie między obu wojnami narody wschodnio-europejskie odwracały się od Rosji sowieckiej i liczyły na mocarstwa zachodnie w obronie przeciw Niemcom. Francja i Brytania nie potrafiły ich obronić i siłą faktu **znalazły się one pod** władzą Niemiec. Dzisiaj Niemcy zeszły z areny, a Rosja zajęła ich miejsce. Rządy wschodnio-europejskie nie mają innego wyboru, jak oprzeć swą politykę zagraniczną i obronność na ścisłej współpracy ze Związkiem Sowieckim. Gdyby Imperium Brytyjskie albo Stany Zjednoczone były w stanie zebrać u granic państw Europy Wschodniej siły i zasoby równe tym, jakimi rozporządza tam Związek Sowiecki — polityka tych państw mogłaby być inna. Ale skoro tak nie jest — nie mają one innego wyjścia, jak tylko iść z Rosją".

(Nie wiedzieć dlaczego — Watson przemilcza tu dwa podstawowe fakty przeciwnego znaku: z jednej strony fakt, że Anglia i Ameryka bynajmniej nie wyrzekły się interwencji w obronie Europy Wschodniej, — z drugiej zaś fakt, że militarna i ekonomiczna przewaga obu mocarstw anglosaskich wzmacnia ich głos w sprawach Europy Wschodniej — przyp. red. O. B.).

„Niewiele jest wolności politycznej w Europie Wschodniej, ale niewiele jej było i przed wojną. (?!) Pozytywną (?) cechą nowych ustrojów jest ich ustawodawstwo społeczne, reformy rolne na Węgrzech i w Rumunii oraz odtworzenie związków zawodowych... **Czy potrafią one prowadzić zakrojoną na dalszą metę politykę rozwoju rolnictwa, planowego uprzemysłowienia krajów oraz reformy oświaty,** która (jak to wiedziano nawet przed r. 1939) jest jedyną siłą, wytwarzającą demokrację, — **zbyt wcześnie byłoby o tym sądzić. Kraje te nie mogą nawet ruszyć z miejsca — dopóki nie podźwigną się z kalectw ruiny gospodarczej i dopóki będzie je przygniatać brzemię armii sowieckich, których koszt utrzymania ponoszą** (z jednym wyjątkiem Jugosławii). Dużo dziś jest nędzy i dużo niezadowolenia w Europie Wschodniej. Nienawiść głodnych i bezdomnych... zwraca się głównie przeciw nowym ustrojom i przeciw Rosji. Im bardziej nowe ustroje zdają sobie z tego sprawę — tym mniej są one skłonne dać opozycji swobodę działania. A znów im bardziej zdają sobie z tego sprawę Rosjanie — tym mniej są oni skłonni wycofać swe armie, nie chcąc ryzykować odrodzenia się nieprzyjaznych rządów u ich granic...

„Dla tych, którzy sądzą, że konflikt między Zachodem a Rosją Sowiecką jest nieunikniony, istnienie silnych antysowieckich piątych kolumn w Europie Wschodniej jest źródłem zadowolenia. Natomiast jeśli mocarstwa zachodnie chcą pokoju z Rosją sowiecką — muszą ubolewać nad tym stanem rzeczy i muszą pracować nad wewnętrznym pojednaniem w krajach Europy Wschodniej. Po pierwsze należy przekonać Rosję, że taki jest prawdziwy ich zamiar. Po wtóre należy przekonać odłamy prawicowe we Wschodniej Europie, że są w błędzie przypuszczając, iż zawsze i bezwarunkowo popierane będą przez Zachód. Na odwrót odłamy te powinny wiedzieć, że Ameryka i Brytania życzą sobie, aby prawica współpracowała z innymi stronnictwami politycznymi w odbudowie krajów. Po trzecie wreszcie Zachód musi nauczyć swych zwolenników we Wschodniej Europie odróżniać skutki klęsk wojennych i upadku gospodarczego od skutków działalności sowieckiej i komunistycznej. Prócz tego jeszcze Zachód powinien pomóc ekonomicznie Wschodniej Europie. Wolność polityczna nie napełni pustych żołądków. Dopiero kiedy zażegnane zostanie widmo głodu — ludzie będą mogli pomyśleć poważnie o wolności politycznej".

Jakkolwiek w artykule Watsona trafiają się gdzieniegdzie pewne akcenty prawdy — to jednak główne jego tezy są całkowicie chybione. Są to okrągło ulane ale wewnątrz puste frazesy. No tak, bo wolność polityczna — to nie tylko wolność słowa, ale nadewszystko wolność czynu, warunkująca owocność działania, opłacalność wysiłku gospodarczego, możność skutecznego zwrócenia wszystkich sił ku odbudowie, pewność, że ciężki wysiłek uczyniony na rozkaz prawdziwie wolnego rządu pójdzie rzeczywiście w całości na dobro społeczeństwa a nie na korzyść zaborcy, a nie tylko ku utrwaleniu jego przemocy i panowania. Watson w artykule swym pretenduje do ujawnienia ważkich faktów, a tymczasem zapoznaje oto fakt dla omawianych przezeń spraw gospodarczych najbardziej podstawowy — mianowicie fakt, że gospodarka sowiecka w Europie Wschodniej nie stwarza warunków racjonalnej odbudowy krajów, lecz stanowi system ich eksploatacji dla potrzeb Rosji i jej odbudowy — a nadto zmierza świadomie do obniżenia dotychczasowego poziomu bytu tych krajów. Jak trafnie stwierdził to Gladwin Hill stan rzeczy w Polsce jest zawadą w dziele odbudowy kraju a **nie jego** dźwignią. Tak samo jest i gdzie indziej. Społeczeństwa zdają sobie z tego sprawę i dlatego wszystkie tak w istocie naglące potrzeby odbudowy są w świadomości społeczeństw najpotężniejszym argumentem woli przywrócenia im wolności politycznej. Nawet rychła i wydatna pomoc ekonomiczna Zachodu nie mogłaby odwrócić tej naturalnej konsekwencji — inaczej pomoc ta nie tyle Europie Wschodniej ile samej Rosji wyszłaby na dobre.

Myli się również Watson sądząc, że przyczyną nienawiści społeczeństw do narzuconych im rządów jest głód i inne następstwa wojny oraz ciężary, które rządy te na społeczeństwa nakładają. Istotną przyczyną tej nienawiści jest świadomość popadnięcia w nową niewolę. Pamięć zasług i ofiar poniesionych dla wolności oraz świadomość, że rządy sowieckie utrudniają tylko rychłe podźwignięcie się z upadku — wszystko to potęguje nienawiść i żadne perswazje na to nie pomogą, bo słuszna ta nienawiść płynie tyleż z umiłowania wolności, co i z gospodarskiego rozumu.

Watson nawołuje narody Europy Wschodniej, ażeby pogodziły się ze swym obecnym losem — Zachodowi zaś radzi, aby wpływał na nie w kierunku posłusznego podporządkowania się woli Rosji. Tymczasem jednak z punktu widzenia własnej racji stanu Anglia wtedy tylko mogłaby obojętnie patrzeć na ostateczne ujarzmienie Europy środkowej przez Rosję, gdyby miała pewność, że Rosja swej przewagi w tej części Europy nie użyje dla utorowania sobie drogi do hegemonii wobec całej Europy. Tymczasem jasne jest, że w interesie Anglii nie każdy domaganie komukolwiek w ugruntowaniu swej hegemonii w Europie. Pokój nie może być dla nikogo celem w samym sobie. Może nim być tylko pokój bezpieczny. Inaczej zadowolono by się samym ustaniem działań wojennych jako faktycznym pokojem. Tymczasem choć taki pokój już nastał — nie ma bezpieczeństwa i dlatego dalej toczy się walka o trwałe bezpieczeństwo.

Rosja i Atom

Na ten temat londyński „The Observer" podał następującą wzmiankę, której treść oddał by może najlepiej przysłowie „konia kują a żaba nogę podstawia":

„Rosja jest już w posiadaniu energii atomowej — jak o tym zapewnił polski „wtajemniczony" spraw zagranicznych" p. Berman na zebraniu publicznym, które odbyło się w zeszłym tygodniu w Warszawie. Oświadczył on mianowicie: „Bajki o bombie atomowej nie wpłyną już na ukształtowanie sytuacji międzynarodowej. Bomba atomowa nie będzie już stanowiła wyłącznej własności jednego tylko państwa. Teraz energię atomową zdobyło także państwo równie zaawansowane w dziedzinie postępu naukowego, technicznego i społecznego — mianowicie Związek Sowiecki"

„Dziwna to rzecz — stwierdza od siebie „The Observer" — że oświadczenie tej wagi złożone zostało w Warszawie a nie w Moskwie. Zapewnienie p. Bermana zdaje się stać w sprzeczności z niedawną mową p. Mołotowa — o zdobyciu energii atomowej przez Rosję, sowiecki komisarz do spraw zagranicznych mówił w czasie przyszłym. Treść mowy p. Bermana robi wrażenie, że oświadczenie jego jest przeznaczone na użytek wewnętrzny. Pragnął on oczywiście złagodzić naprężenie, jakie w całej Europie Wschodniej wywołał fakt „rozłupania atomu". Tamtejsza partia antyrosyjsku żywi niecierpliwą i nierozsądną nadzieję na wybuch wojny atomowej".

„Z żadną pewnością nikt z zewnątrz nie może powiedzieć, czy Rosja ma bombę atomową własnej produkcji, czy jej nie ma. Jest prawdopodobne, że dopóki nie zostanie zawarta umowa międzynarodowa w tej sprawie — Rosjanie będą trzymali świat w niepewności co do tego: a kiedy nawet rozpoczną produkcję energii atomowej — nie będą się śpieszyli obwieścić to światu".

Dodajmy od siebie, że myśl o wybuchu wojny atomowej wywołała ogromne „naprężenie" nie tylko w Europie Wschodniej lecz także w całym świecie wobec obawy nowych i wprost już niesłychanych zniszczeń, jakie wybuch takiej wojny mógłby sprowadzić nie tylko w Europie Wschodniej ale w całym świecie. Gdyby obawa ta była zażegnana — „The Observer" byłby niewątpliwie pobłażliwszy dla p. Bermana i nie kpiłby sobie z jego „oświadczeń tej wagi".

Z HUMORU ANGIELSKIEGO

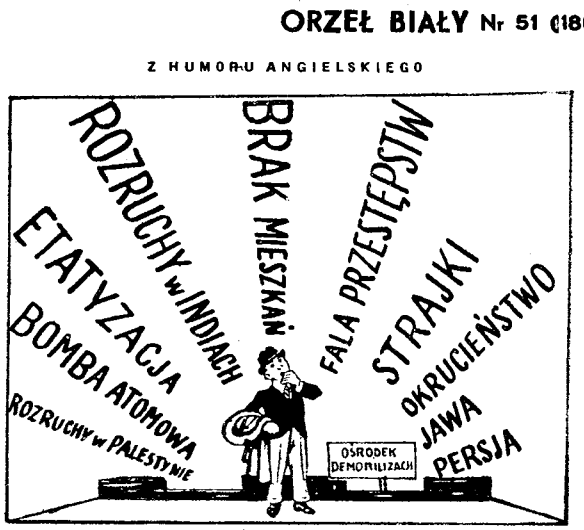

OTÓŻ TO POKÓJ

„Union Jack"

Komunikat Stowarzyszenia Techników

„Wobec wiadomości podanych przez radio Luksemburg, a wykorzystywanych przez obcą propagandę o stanowisku Stowarzyszenia Techników Polskich w W. Brytanii w sprawie powrotu do kraju w chwili obecnej, podajemy treść depesz wymienionych pomiędzy Stowarzyszeniem Techników Polskich we Włoszech i Zarządem Głównym w Londynie:

„Rzym, 20. XI. 1945, godz. 11,45.

„Stowarzyszenie Techników Polskich, 18 Devenshire Street, LONDON W. 1."

„Prosimy o natychmiastowe wyjaśnienie i publiczne zdementowanie wiadomości podanej 18. XI. przez radio Luksemburg z powołaniem się na Warszawę, jakobyście powzięli uchwałę powrotu w chwili obecnej...?

„Stowarzyszenie Techników Polskich we Włoszech".

W odpowiedzi nadeszła depesza:

„GI 595 London 16 22 1416"

„Stowarzyszenie Techników Polskich we Włoszech, Rzym, Via dei Villini 18".

„Wiadomości radia Luksemburg nieprawdziwe. Wysyłamy list. Stowarzyszenie Techników Polskich".

Wydawca Oddział Kultury i Prasy 2. Polskiego Korpusu Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej 2. P. K. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62